









# DON JUAN

DRAMAT W 3 AKTACH

NAPISAŁ

TADEUSZ RITTNER

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-330 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42



WYDAWNICTWO KSIĘGARNI MARYANA HASKLERA STANISŁAWÓW  
1916 — WIEDEŃ (C. K. NADWORNA KSIĘGARNIA MAUR. PERLESA)



O S O B Y.

HRABIA  
PROFESOR, jego brat  
SEKRETARZ  
ZUZANNA, jego żona  
KRYSTYNA  
HANIA  
LOKAJ  
DZIEWCZĘTA

Rzecz dzieje się na wsi u hrabiego w naszych czasach.

---

KRAKÓW. — DRUK. W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

## AKT I.

Duszna noc letnia. Wielki park należący do pałacu hrabiego. W tyle: fasada pałacu; do głównego wejścia prowadzą szerokie wschody; w kilku oknach pałacu widać światła. Na lewo: krzaki róż; na prawo: olbrzymia kwitnąca akacja.

Na przedzie: po prawej stronie altana, której drzwi otwarte są na oścież; wewnątrz stoi stół pokryty papierami, księgami gospodarskimi etc., na stole płonąca lampa.

Przed altaną stółek ogrodowy. Na lewo: ławka, stół i krzesła ogrodowe.

### SCENA I.

SEKRETARZ, PROFESOR.

*Sekretarz hrabiego pracuje w altanie przy stole. Po kilku sekundach przychodzi z pałacu, po wschodach profesor, starszy już, szpakowaty mężczyzna, łysy w okularach, z długą brodą, typ pośredni między arystokratą a uczynym. Jest nerwowy ale dość silnie zbudowany; trzyma się pochyło.*

PROFESOR.

Mój brat jeszcze nie wrócił?

SEKRETARZ.

*Człowiek nie duży, trochę korpulentny, żywy, koło lat 40; ubrany bardzo starannie, dyskretnie; w butonierce popielatego surduta kwiatek; ma szybkie ruchy Włocha albo Francuza, zapala i entuzjazmuje się łatwo. Wstaje szybko, wtyka za ucho pióro, którem właśnie pisał).*

O nie, to byłoby niemożliwe według mego obliczenia...

PROFESOR.

*(Siadając powoli na fotelu przed altaną)* Co za gorąco. Znowu nie zasnę tej nocy. — Będę jak najdłużej siedział tu w ogrodzie.

SEKRETARZ.

A może służyć panu profesorowi poduszeczką?

PROFESOR.

Owszem — dziękuję. *(sekretarz kładzie mu poduszkę pod głowę)* Nawet ta poduszka ma jakiś zapach... podejrzany... u was wszystko jest podejrzane. *(p. ch.)* Według pańskiego obliczenia, powiada pan — ?

SEKRETARZ.

*(Trochę zmieszany, z uśmiechem)* O! Bo ja wiem dokąd się udał pan hrabia.

PROFESOR.

Wie pan? Ślicznie. — Ale ja się nie pytam o sprawy mego brata, panie sekretarzu, czy... dyrektorze — ? — jak się pana właściwie tytułuje?



SEKRETARZ.

O, jak łaska. Moje stanowisko w tym domu nie da się tak łatwo określić. Ponieważ pan hrabia nie może zajmować się osobiście ani administracją majątku ani innymi interesami, więc...

PROFESOR.

Dlaczego nie może? Powinien się zajmować!

SEKRETARZ.

Więc ja tu jestem niejako wszystkim; sekretarzem, rządcą...

PROFESOR.

Byłoby znacznie lepiej, gdyby się tem zajął niż...  
(*milknie z oburzenia, wzdycha*) Nie, to nie dla mnie. Ja tu spać nie mogę, panie łaskawy.

SEKRETARZ.

(*Uprzejmie*) Rzeczywiście, tutaj sypia się mało, ale czy nie uważa pan profesor, że powietrze jest świetne?

PROFESOR.

Wcale nie uważam. Tu jest powietrze duszne, dziwnie niepokojące.

SEKRETARZ.

(*Pogodnie*) No tak — w lipcu.

PROFESOR.

A przy tem najrozmaitsze zapachy... Nie zdrowo, bardzo nie zdrowo. — Czego się dotknąć, wszystko ma jakiś zapach...

SEKRETARZ.

Ale ogród jest przecież śliczny...

PROFESOR.

Ogród jest także denerwujący. Z tych róż niezliczonych boli mnie ciągle głowa. A w nocy słyszy się ustawicznie, z wszystkich stron... jakieś szepty, chichoty... I to ma być spokój?!... Wieś?!...

SEKRETARZ.

Sam pochodzę z południa. Po matce. Tam w Neapolu dopiero w nocy zaczyna się życie. — Dlatego też nie myślę nawet o łóżku, pracuję najchętniej przy lampie.

PROFESOR.

A cóż na to pańska żona? Bo jest pan podobno żonaty — ?

SEKRETARZ.

Tak, żonaty.

PROFESOR.

Kiedyż wraca pan zazwyczaj do domu?

SEKRETARZ.

Zazwyczaj? U nas właściwie niema zwyczajów Pod żadnym względem. U nas wszystko zależy od przypadku...

PROFESOR.

Znam te przypadki. Mają długie włosy i jedwabne suknie.

SEKRETABZ.

(*Z uśmiechem*) Jedwabne? Teraz? Przecież jesteśmy na wsi.

PROFESOR.

(*Po chwili, spoglądając na sekretarza powoli*) Pan wygląda bez kwestyi... bardzo statecznie. Bardzo porządnie... mógłbym sobie wyobrazić pana wszędzie tylko nie tutaj. Habitus stanowczo moralny. W dodatku ma pan żonę, dzieci...

SEKRETARZ.

Dzieci nie mam.

PROFESOR.

Wszystko jedno, ale jak (*żywo*) pan może egzystować w tem otoczeniu?! Jak może człowiek stateczny znosić spokojnie atmosferę tego domu. Chociaż chodzi o mego rodzonego brata, powiem otwarcie, że na miejscu pańskim byłbym mu już dawno, sto razy — wymówił służbę.

SEKRETARZ.

Być może. Nie wątpię nawet ani na jedną chwilę, że zrobiłby tak pan profesor. Bo pan profesor jest tylko jego bratem.

PROFESOR.

A pan?

SEKRETARZ.

(*Skromnie*) Ja nie chwałę się — jestem jego przyjacielem. Powtarzam tylko to, co powiedział pan hra-

bia. Tylko to. Obdarza mnie bezgranicznem zaufaniem.

PROFESOR.

A to zaufanie odnosi się nietylko do interesów...

SEKRETARZ.

Nie, do wszystkich spraw pana hrabiego.

PROFESOR.

Także do tych... jedwabnych, pachnących, koronkowych, którym poświęca tyle sił, zdrowia, fantazyi... które załatwia naprzykład teraz w późnej nocy...

SEKRETARZ.

(*Którego oczy się śmieją*) Panie profesorze, to człowiek... genialny.

PROFESOR.

(*Śmieje się ze złością, cicho; tamie ręce*) Genialny... Panie kochany, gdzie ja się znajduję? Co? Przecież chyba nie zwaryowałem? Albo może pan zwaryował? (*trzęsąc głową*) Zdumiewającą jest przy tem wszystkim pańska powaga. Siedzi pan godnie przy biurku z piórem za uchem... i gdyby nie ten kwiatek w butonierce...

SEKRETARZ.

(*Prędko*) Mam go od żony.

PROFESOR.

A więc i kwiatek jest czcigodnego pochodzenia. Ale pańskie obowiązki w tym domu, pańskie pojęcia

o moim bracie, pańskie zasady — są straszne! Czy pan myśli naprawdę, że brat mój jest genialny?

SEKRETARZ.

(*Prawie zdumiony*) Ależ naturalnie. Przecież pan profesor sam powiedział, że te sprawy nocne pana hrabiego, kosztują go dużo fantazyi. A czy nie jest to rzeczą obojętną, na co zużywa się fantazyę?

PROFESOR.

Nie... wcale nie!

SEKRETARZ.

Byłe fantazyja była bogatą... Samo zużywanie jest piękne...

PROFESOR.

(*Zły*) Dosyć mój panie, dosyć! (*Milknie, oddycha szybko, potem prawie krzyżąc*) Nie dlatego do was przyjechałem! Przyjechałem dla zdrowia, dla powietrza!

SEKRETARZ.

(*Spokojnie*) Małe spacerki w okolicę posłużyłyby niezawodnie bardzo panu profesorowi. Mamy wielkie, przepyszne lasy... Pałac i park leżą wysoko i pięknie...

PROFESOR,

Tak, ale w tym pałacu i parku żyje mój brat! Że też wcześniej o tem nie pomyślałem! On jest panem tej okolicy pod każdym względem. On tu jest wszędzie. Jego osoba, jego istnienie w tem miejscu de-

moralizuje wszystko, nawet stosunki klimatyczne. To jest świat osobliwy

SEKRETARZ.

(*Prawie z entuzjazmem*) O tak — świat osobliwy. A kiedy dawniej żyliśmy w mieście, w tem zresztą całkiem zwykłym mieście, w którym pan profesor żyje obecnie — byłem także w świecie osobliwym. W domu pana hrabiego. O to chodzi. I dlatego...

PROFESOR.

Dlatego służy pan tak chętnie u mego brata?

SEKRETARZ.

(*Prostu*) Tak, panie profesorze! (*Wskazuje na książki i papiery leżące na stole*) To wszystko, liczby, interesa, rzeczy praktyczne należy także niejako do moich potrzeb życiowych. Ale to zamało, to nie wystarcza. Chleb powszedni i nic więcej. Czy może świat chleba powszedniego, zadowolnić człowieka, który ma większy apetyt?

## SCENA II.

SEKRETARZ, PROFESOR, ZUZANNA.

*Z lewej strony w głębi wchodzi Zuzanna, kobieta piękna, mniej więcej trzydziestoletnia, ubrana biało, z pewnym wdziękiem, ale nie jak dama. Typ »femina domestica« — nie głupia zresztą, żywa, przyjemna, o szczerych, czysto kobiecych instynktach, ale nie bez pewnej przesady burżuazyjnej co do »godności« wobec obcych osób. W rozmowie*

*z obcymi jest komicznie sztywną ceromonjantką, zaznacza niejako, że jest z »dobrej rodziny« i wie co wypada i nie wypada, ale w chwilach gorętszego afektu, oburzenia i. t. d zapomina o wszystkim i staje się znowu najmiłszem stworzeniem na świecie. Jest duża, pełna, zajmuje przez ową suknię (w rodzaju krynoliny) dość dużo miejsca, niby forteca, którą fizycznie dość trudno jest zdobyć — ma włosy jasne, oczy ciemne, twarz białą z czarnym punkci-kiem pod prawem okiem. Wpada z szumem na sam środek sceny, z początku widzi tylko swego męża.*

SEKRETARZ.

*(Zmieszany trochę jej niespodzianą, nocną wizytą bie-gnie naprzeciw niej, z pewną emocją).*

Ty tutaj? Ależ dziecko mówiłem ci...

ZUZANNA.

*(Prędko, naturalnie, zła) Wiem. Mówiłeś, że bym tu nigdy nie przychodziła. Ale dzisiaj nie wytrzyma-łam i już! Nie chciało mi się czekać na ciebie bez końca. Dlaczego nie wracasz do domu? Co tu wła-ściwie robisz o tej porze? (rozgląda się naokoło) Zre-sztą niema tu nikogo... co? (bojaźliwie) Jego przecież niema?*

*(Naraz spostrzega profesora, miesza się i nagle zacho-wuje się »godnie« sztywnie z pewną afektacją)*

O, przepraszam, bardzo przepraszam... Nie zau-ważylam...

PROFESOR.

*(Życzliwie, wcale uprzejmie)* Niech pani wybaczy, że nie wstaję, ale...

ZUZANNA.

Nic nie szkodzi.

PROFESOR.

Mam podagrę.

SEKRETARZ.

*(Po chwili wahania się, chce nareszcie przedstawić profesora)* Pan pro...

ZUZANNA.

*(Przerywa)* Wiem. Pan profesor. *(kłania się godnie głową)* Jego brat... *(poprawia się z wielkiem zaktopotaniem)* Brat pana hrabiego... *(ceremonialnie)* Bardzo mi przyjemnie...

PROFESOR.

A pani jest zapewne żoną naszego sekretarza?

ZUZANNA.

Słyszałam już wiele o panu.

PROFESOR.

Hm. Przypuszczam, że pani zna wszystkich w tym domu. Przynajmniej z widzenia. Przecież mieszkanie państwa jest niedaleko.

ZUZANNA.

Tak, znam z widzenia... *(szybko)* ale nie wszystkich.

SEKRETARZ.

*(Z łagodnym wyrzutem)* Prosiłem cię raz na zaw-



sze, żebyś nie przychodziła tu do mnie, chyba że w bardzo ważnych i nagłych wypadkach...

PROFESOR.

*(Złośliwie)* Rozumiem. Co za przezorność!

ZUZANNA

*(Zmieszana, tonem naiwnie oburzonym do męża)*  
Pięknie mnie przyjąłeś, bardzo pięknie! Mógłby ktoś nie wiem co pomyśleć... Jeśli moja obecność jest ci tak przykra, mogę natychmiast...

SEKRETARZ

*(Uśmiecha się, choć jest zły)* Ależ dziecko... Czy zaszło co w domu? Czy stało się coś takiego, że wpadasz tu bez tchu, o tej porze?

ZUZANNA.

*(Bliska płaczu, ale ze względu na profesora, który się jej uważnie przygląda, mówi z sztucznym spokojem, gładnie przeciągle).*

Stało się... dziwny jesteś mój drogi... Stało się...  
*(prędko z pasją)* Chyba to się stało, że siedzisz tu nie wiem poco, zamiast pójść spać jak się należy. Czekałam i czekam... Ale ty o tem nie pomyślisz! Jesteś tak bezwzględny...

PROFESOR.

*(Sucho — do sekretarza)* A co — nie mówiłem?

SEKRETARZ.

*(Zdziwiony i zakłopotany)* Przecież nie pierwszy raz pracuję w pałacu o tej godzinie...

ZUZANNA.

*(Zupełnie szczerze, naturalnie)* Niestety... nie pierwszy raz. — Nie pierwszy raz! Bóg świadkiem znosiłam to cierpliwie, długo, ale dzisiaj naraz nie mogłam. Rozumiesz? — Przez cały wieczór złościłam się dziś na ciebie. — Bo jest coś takiego w powietrzu, nie wiem co... Naraz powiedziałam sobie... *(zapominając się)* nie dam się, nie pozwolę, dosyć tego!

PROFESOR.

Słusznie.

SEKRETARZ.

Ależ kochana Zuzanno, mam przecie obowiązki! Przecież nie płacą mnie za nic!

ZUZANNA.

*(Ignorując zupełnie uwagi profesora i sekretarza)* Rzeczywiście, nie mogę sobie pomyśleć, co za robotę masz tutaj w nocy. Zawsze mówisz, że masz robotę... Jaką? Chciałam raz sama się przekonać, czy to prawda. — Byłam naprawdę ciekawa, co tu się dzieje jak tu wygląda. *(z nagłą złością)* W nocy się śpi! Ja... nie dam drwić z siebie... rozumiesz. *(z naiwnie raptowną czułością w głosie)* Nie gniewaj się — brysiu! Chodź do domu — proszę...

PROFESOR.

Zgadzam się z panią. Nieufność pani co do tego domu, bez kwestyi nie jest bezpodstawną.

ZUZANNA.

(*Znowu tonem zirytowanym*) A co? Prawda? Skąd mogę wiedzieć co on tu robi? Jak się zna tak dawno stosunki, jak się słyszało tyle niestworzonych rzeczy o tym domu... i o życiu pana hrabiego. (*nagle zmieszana*) O przepraszam... zapomniałam się...

PROFESOR.

(*Uprzejmie*) Ależ owszem, niech pani mówi...

ZUZANNA.

(*Zawstydzona*) Nie, ani słowa już nie powiem (*rozgląda się bojaźliwie*) Nie można wiedzieć... Lada chwila może nadejść pan hrabia... (*swym ceremonjalnym tonem*) A ja dotychczas nie miałam zaszczytu poznać osobiście pana hrabiego...

PROFESOR.

(*Zdziwiony*) Czy być może?

ZUZANNA.

(*J. w.*) Dotąd nie miałam zaszczytu. I zresztą naprawdę nie chciałabym się naprzykrzać... I ze względu na to (*naturalnie, przymilając się do męża*) Brysiu, chodź do domu...

PROFESOR.

(*Z uśmiechem*) Brysiu... Hm... Pani tak zawsze do męża? Pewnie dlatego, że jest wierny...

ZUZANNA.

(*Żywo*) Mnie wierny — prawda?

PROFESOR.

O, naturalnie i pani rozumie się. — Ale przed chwilą miałem na myśli tego pana, mego brata —

SEKRETARZ

*(któremu nie podoba się ani sytuacja, ani rozmowa)*

A więc, droga Zuzanno... przyrzekam ci, że nie zadługo będę w domu. Czekam tylko jeszcze na pana hrabiego, który za chwilę wróci. *(patrzy na zegarek)* Tak, za chwilę... Do widzenia, dziecko.

PROFESOR.

*(Do Zuzanny, zaalarmowanej słowami »za chwilę wróci«)* Niechże pani jeszcze zostanie. Według dość zabawnej etykiety tego domu, dzwoni się trzy razy na powitanie mego brata. Usłyszy pani... Dzwon ma głos uroczysty. Jak z wieży katedralnej.

ZUZANNA.

*(Nie bez zachwytu)* O, wiem. — Nieraz przez to budzę się w nocy... Dzwoni tak jakoś — nie wiem jak. —

PROFESOR.

A więc. Jak zadzwonią, będziesz pani miała dość czasu na ucieczkę. Ale teraz proszę na chwilę usiąść. *(Zuzanna trzęsie głową i rozgląda się na wszystkie strony)*. Słyszała i pani już nie jedno o moim kochanym bracie? Od kogo? — Przecież nie od męża pani?

ZUZANNA.

*(Żywo)* Właśnie, że od męża. Od niego najwię-

cej. To ulubiona rozmowa mego męża... Głos jego aż drży przytem z zachwytu. — Nieraz nie słyszę nic innego od rana do wieczora, jak tylko o różnych sprawkach pana hrabiego...

SEKRETARZ.

*(Zakłopotany)* Zuzanno!

ZUZANNA.

O bardzo przepraszam pana profesora... nie chciałam przez to nic złego powiedzieć.

PROFESOR.

Spodziewam się, że pani chciała... bo tu chodzi przecież o złe rzeczy. Tak złe. —

ZUZANNA.

*(Z nieuświadomioną, naiwną przymieszką admiracyi)*  
Straszne...

PROFESOR.

...Że mąż pani uczyniłby lepiej, gdyby nie opowiadał ich pani. — Przecież pani słucha tego z pewnością z największym niesmakiem moralnym.

ZUZANNA.

*(Wahając się, nieszczerze)* Tak... Z największym niesmakiem moralnym.

PROFESOR.

A w każdym razie powinna pani zapomnieć wszystko jak najprędzej.

ZUZANNA.

(*Prawie wyniośle*) O, to nie będzie trudno, panie profesorze. Te wszystkie historye mają dla mnie za mało znaczenia. Mam dużo znacznie poważniejszych rzeczy w głowie. (*Naraz naiwnie*) Pytam się tylko czasem... czy to było naprawdę? — Czy to jest możliwe?

SEKRETARZ.

Zuzanno, jest późno...

ZUZANNA.

(*Z roztargnieniem*) Zaraz... już idę! (*j. w.*) Czy jest naprawdę tyle kobiet, które dadzą się tak złapać... Czy to możliwe? Bo jest ich przecież tyle... Wiem wszystkie nazwiska... Wiem dokładnie wszystko... Te kobiety są dla mnie zagadką...

PROFESOR.

A on nie? Co sądzi pani o nim?

ZUZANNA.

(*Znowu wyniośle »godnie«*) Pana hrabiego — jak powiedziałam — nie mam dotąd zaszczytu znać... Widziałam go tylko tu i owdzie... bardzo niewyraźnie... przez okno — bardzo niewyraźnie... przez okno... i dlatego — jak powiedziałam — nie mam o nim żadnego zdania... (*zastanawiając się*) Ale nie pojmuję jednej rzeczy. (*Z pogardą burżuazyjną*) Czy pan hrabia nie interesuje się niczem innym na świecie?

PROFESOR.

(*Z uznaniem, do sekretarza*) Słyszysz pan?

ZUZANNA.

*(Zachęcona uznaniem)* Tego, przyznam się, nie pojmuję. Nie wiem jakie jest zdanie pana profesora, ale mojem zdaniem, istnieje przecież tysiąc ważniejszych celów życiowych dla mężczyzny... *(podkreślając)* dla prawdziwego mężczyzny...

PROFESOR.

Wybornie.

ZUZANNA.

Niż... to. Niech się pan profesor nie gniewa za moją śmiałość, ale sądzę, że mężczyzna powinien pracować.

PROFESOR.

Mądra kobieta.

ZUZANNA.

Mężczyzna, który nic nie robi, jest niczem. Nie jest mężczyzną. Na miłość boską, jakżeż to możliwe, żeby próżniak...

SEKRETARZ.

*(Przerażony)* Zuzanno!

ZUZANNA.

Podobał się tyłu kobietom. *(półgłosem, z tym samym naiwnym podziwem)* Bo przecież jest ich tyle... tyle...

SEKRETARZ.

*(Nerwowo)* Moja droga, ty tego nie rozumiesz...

ZUZANNA.

Przecież sama jestem kobietą. Ale tego naprawdę nie rozumiem. W mojej rodzinie... (*swym »godnym« tonem*) jestem z bardzo znanej, bardzo dobrej rodziny, panie profesorze, cenilo się mężczyznę według jego pracy, pilności. Ojciec mój i dziadek nieboszczyk od rana do nocy siedzieli w kantorze — jestto bardzo znany dom, towary kolonialne... może pan profesor słyszał. — Pracowali bez wytchnienia, nie tylko dla siebie, ale i dla dobra publicznego. — Mój dziadek był radnym miejskim, może pan słyszał... Któż nie pracuje? I pan profesor i moi bracia i nawet Bryś... (*przypomina sobie, tym tonem co przedtem*) Chodź do domu, proszę...

PROFESOR.

Idźże pan wreszcie do domu.

ZUZANNA.

Wszyscy mężczyźni pracują. Tylko pan hrabia... Ale przepraszam, powiedziałam tylko to, co myślę... Mój mąż mówił, że pan hrabia jest genialny... Może dlatego podoba się tak kobietom? Nie wiem... (*ciszzej*) Jakie to dziwne, dziwne... Podoba się — to pewne. — Dziś słyszy się o tej — jutro o tamtej... Skąd? Dlaczego?

PROFESOR.

Niech pani jednak o tem za dużo nie myśli.



ZUZANNA.

*(Znowu niby obrażona)* Ja? Ha, ha... Rzeczywiście! Jakbym nie miała nic ważniejszego do myślenia... *(znowu ciszej)* Ale, że to dziwne, bardzo dziwne, trzeba przyznać, że kobiety tak go kochają! — *(patrzy jakiś czas prawie marzącym wzrokiem przed siebie; naraz widzi, że mąż jest niespokojny)* Idę już, idę. — *(prosząc)* Ale prawda, że niedasz mi długo czekać?

SEKRETARZ.

*(Całuje Zuzannę w rękę czule, ale jednak nie zominając o obecności profesora)* Nie Zuzanno — *(głaszcząc ją prawie ukradkiem)* Bądź grzeczna, cierpliwa... Przyjdę niezadługo... Czekam tylko na pana hrabiego.

ZUZANNA.

*(Do profesora)* Dobranoc!

PROFESOR.

*(Ciepło, podając jej rękę)* Dobranoc pani.

*(Zuzanna odchodzi)*

SCENA III.

SEKRETARZ, PROFESOR.

PROFESOR.

Wstydź się pan!

SEKRETARZ.

*(Uprzejmie)* Dlaczego?

PROFESOR.

Pan chyba nie czuje, że to nieoceniona kobieta.

SEKRETARZ.

*(Uprzejmie, ale trochę ostro)* Czuję. Nie potrzeba mi tego mówić. *(szczerze)* Ta kobieta jest mi wszystkim!

PROFESOR.

A jednak nie wystarcza panu to, co pan ma. Dlaczego bierze pan udział w szalonym, rozpustnym życiu mego brata?

SEKRETARZ.

O, panie profesorze...

PROFESOR.

Wiem wszystko. Wiem doskonale, że pan ułatwia i aranżuje memu bratu wszystkie miłości.

SEKRETARZ.

*(Dotknięty)* Ułatwia, aranżuje...

PROFESOR.

Sam nazywa pana swym Leporellem.

SEKRETARZ.

Nigdy seryo. A ja protestuję zawsze z całą stanowczością przeciw tym żartom. W życiu zewnętrznym pana hrabiego odgrywam co najwyżej tę samą rolę, co w snach własnych.

PROFESOR.

*(Nerwowo)* Bez porównań, proszę. Nie rozumiem. Jestem ginekologiem.

SEKRETARZ.

(*Coraz cieplej*) A więc: życie pana hrabiego interesuje mnie, bo jest całkiem inne jak moje własne. Życie pana hrabiego jest niesłychanie zajmujące. Bierze, porywa i mimowoli śledzę z uwagą wszystkie jego zdarzenia... pytam się z biciem serca: »Co będzie teraz?« — Co przyjdzie potem?«

PROFESOR.

(*Tym samym tonem*) I... »jak to kiedyś się skończy«.

SEKRETARZ.

Nie. — Tego się nie pytam. Bo życie pana hrabiego robi takie wrażenie... jakby nigdy nie miało się skończyć. Zagadka, jakaś bajka jest w tem życiu. — I sam hrabia z pewnością tak czuje — sam hrabia daje mi to do poznania. (*ciszej*) Tak... czasem faktycznie trudno jest oprzeć się uczuciu, że to życie jest wieczne jak świat.

PROFESOR.

Hm... pan faktycznie ma bzika.

SEKRETARZ.

(*Rzeczowo*) Wątpię panie profesorze. Mówię tylko o mojem uczuciu. Co do mego aparatu myślowego, to zobaczy pan profesor z tych ksiąg gospodarskich, że funkcjonuje on niezłe.

PROFESOR.

(*P. chw.*) A propos — jeśli pan ma robotę, nie będę przeszkadzał. Wezmę sobie coś do czytania.

SEKRETARZ.

(*Z uśmiechem*) Niestety nie mamy nic a nic do czytania.

PROFESOR.

(*Ironicznie*) Przepysznie. Coś drukowanego znajdzie się może w tym domu — he? N. p. romans? —

SEKRETARZ.

(*Z uśmiechem*) O to najtrudniej. — Po cóż mielibyśmy czytać romanse?

PROFESOR.

Naturalnie, skoro je przeżywacie.

SEKRETARZ.

Właśnie... (*poprawiając się*) to znaczy, mój pan je przeżywa, ja tylko się przypatruję.

PROFESOR.

Ale niekiedy współpracuje pan chyba... cokolwiek? —

SEKRETARZ.

Czasem... rzeczywiście zapali się człowiek tak do rzeczy, że mimowoli wpływa trochę... na dalszy przebieg akcji, ale (*energicznie*) mimo to wszystko, nie można nazwać mnie Leporellem, o nie, Panie profesorze. N. p. nie zależy mi nic na tem, czy pan hrabia zdobędzie naprawdę pannę Krystynę...

PROFESOR.

(*Przerywając szybko*) Kto jest panna Krystyna?

SEKRETARZ.

Ach, tu chodzi tylko o przykład, o nic więcej.  
Tu chodzi o...

PROFESOR.

(*Uporczywie*) Kto jest panna Krystyna?

SEKRETARZ.

Ależ to było strasznie dawno... Zeszłego tygodnia... Nie słyszał nic pan profesor o pięknej kasztelance, córce naszego sąsiada? Panna Krystyna ma śliczny profil — rasowy, szlachetny. — Zresztą ma wyjść niezadługo za mąż.

PROFESOR.

Za kogo? Jeśli jest narzeczoną, to jakże mój brat może myśleć o jej »zdobyciu«?

SEKRETARZ.

On też wcale o tem nie myśli.

PROFESOR.

Chwała Bogu!

SEKRETARZ.

Bo już ją zdobył! (*przerażenie profesora*) Tak, z wielkim kunsztem ją uwiódł. Bardzo pięknie nie zwykle. Powiedziałbym w stylu średniowiecznym. Porwanie w nocy, na koniu, światło księżycy... las czarny, gęsty...

PROFESOR.

(*Przerażony, cicho*) Dała się porwać dobrowolnie?



SEKRETARZ.

(*Słodko*) O nie dobrowolnie — ale została porwana.

PROFESOR.

I... gdzież jest teraz?

SEKRETARZ.

Nazajutrz była już znowu w domu u swego ojca, naszego sąsiada.

PROFESOR.

Ależ człowieku — (*wstaje*) To straszne... A cóż jej ojciec?

SEKRETARZ.

Wrócił dopiero przed dwoma dniami do domu. W czasie owego interesującego zdarzenia, bawił w Paryżu czy w Londynie: I zapewne nie wie jeszcze o niczem

PROFESOR.

A jeśli wie? jeśli wie?

SEKRETARZ.

(*Fatalistycznie*) To z pewnością niebawem coś zajdzie. Przyznam, że sam jestem ciekaw trochę dalszego ciągu... ale bądź co bądź proszę pana profesora, nie denerwować się tą drobnostką. — Przecież podobne rzeczy powtarzają się u nas dość często. E! Jakoś i to się skończy.

PROFESOR.

Zlitujcie się — wie pan czem to pachnie? Za takie figle albo zasądza się publicznie, albo strzela

się w łeb prywatnie. — (z poza sceny słychać trzykrotne dzwonięcie, głos »dzwonu katedralnego«) Już jest. — (siada zirytowany)

SEKRETARZ.

(Idzie w tył sceny, staje przy wschodach i patrzy na lewo) Pan hrabia właśnie zajechał. (biegnie po wschodach do góry, otwiera drzwi i woła do środka) Pan hrabia! (potem znowu szybko zbiega na dół)

PROFESOR.

(Z westchnieniem) Po co on mię do siebie zaprosił? Niech mi ktoś powie! Gdybym był przeczuwał, jakie okropności są tutaj na porządku dziennym, nie byłbym za nic przyjechał.

SEKRETARZ.

A proszę usilnie pana profesora, nie martwić się sprawą Panny Krystyny. — (do lokaja, który stoi w drzwiach pałacu) Zostań tutaj w ogrodzie.

#### SCENA IV.

SEKRETARZ, PROFESOR, HRABIA.

HRABIA.

(Smukły, zgrabnie zbudowany mężczyzna, świeży, lekki jak młodzieniec. Twarz bez zarostu, usta czerwone, oczy duże wyraziste. Dziwna mieszanina skromnej, prawie wstydlivej uprzejmości z naiwną, nieświadomą bezwzględnością. Niemylna wielkoświatowa pewność w zachowaniu się — mimo marzycielskiego uśmiechu poety. Mężczyzn

*traktuje przeważnie z roztargnioną grzecznością. W rozmowie z kobietami jest szczerzy, pełen zapału, jak artysta przy pracy, a przy tem chytry; Twarz jego ma wyraz wówczas niestychanej, prawie bolesnej koncentracji — chociaż usta uśmiechają się czarująco. Nawet w chwilach najgorętszej namiętności ma zawsze jakąś zwierzęcą gracyę. Ruchy eleganckie, energiczne. W angielskim dressie, z szpicrutą w rękę).*

Dobry wieczór — *(tonem ubolewania do profesora)*  
O nie śpisz jeszcze, mój drogi — *(powtarza z roztargnieniem)* Nie śpisz jeszcze? dlaczego? *(milo)* przecież nie czekałeś na mnie? *(nie czekając odpowiedzi, do sekretarza)* Panie, panie... wie pan kto rośnie? Hania!

SEKRETARZ.

*(Z fachowem zajęciem)* Córeczka ogrodnika?

HRABIA.

*(Z uśmiechem)* Tak... Hania rośnie! Przechodzę właśnie koło ich domku, patrzę: mała siedzi na progu i beczy. — Zaczynam z nią mówić, przestała płakać... zaczerwieniła się.. Cud! Kobieta się z niej zrobiła. To się widzi po ustach, kiedy dojrzewa kobieta. — *(innym tonem)* Czemuż pan nie idzie do domu? Ma pan astmę, a nic pan nie uważa — *(do profesora. pokazując na sekretarza)* Ma astmę — nie powinien się męczyć — *(do sekretarza)* A list?

SEKRETABZ.

Posłałem przez stajennego.



HRABIA.

(*Krzywiąc się*) Nie pojechał pan sam?

SEKRETARZ.

(*Zmieszany*) Dwie mile, panie hrabio. — Chodziło mi o konie.

HRABIA.

A to trzeba było pójść pieszo.

PROFESOR.

Co za bezczelność, że posyłasz jej listy!

HRABIA.

(*Szybko, zdziwiony*) Albo wiesz komu?

PROFESOR.

Wiem, pannie Krystynie.

SEKRETARZ.

(*Prędko*) Ależ ten list był do innej kobiety.

HRABIA.

(*Z uśmiechem*) Ach! i on słyszał już o Krystynie — (*do sekretarza*) Jest coś nowego w tej sprawie? Co? Nie? (*sekretarz trzęsie głową*) A więc — punktum. (*do profesora*) To stara historia — z zeszłego tygodnia. — Krystyna jest za mgłą niejako... Tak jakby mi się tylko śniła... (*przypominając sobie*) Ale ramiona śliczne... Wogóle śliczna. — Oczy zimne, usta gorące... Niestety, nie powtórzy się już w moim życiu — szkoda — (*z wyrzutem do profesora*) Dlaczego mi ją przypomniałeś? Szkoda! (*chwytając się nagle za lewe ramię*) Zresztą i moja rana się przypomina.

SEKRETARZ.

(*Zaniepokojony*) Co? znowu?

HRABIA.

(*Lekko*) Od kilku dni. Od... tej nocy właśnie. Bo kasztelanka broniła się dyabło energicznie.

PROFESOR.

Jaka rana?

SEKRETARZ.

(*Do profesora*) Konsekwencya sprawy honorowej, którą pan hrabia miał przed dwoma laty. (*Do hrabiego*) Ma pan hrabia gorączkę?

HRABIA.

(*Nie zważając na pytanie*) Do kogo Krystyna jest podobna? Do kogo? Zwłaszcza szyja, broda... Od kilku dni męczą mnie jakieś podobieństwa, wspomnienia z bardzo dawnych czasów. (*do profesora*) Nie znasz tego uczucia? Może to jest w związku z powietrzem, z temperaturą.

SEKRETARZ.

(*który obserwował bacznie hrabiego*)

Pan hrabia ma błyszczące oczy. To źle. Nie pójdę dziś wcale do domu.

HRABIA.

Pójdzie pan natychmiast. Nie mam gorączki. (*do profesora*) Nazywam Krystynę zawsze kasztelanką... Widzę ją często w myślach. Ma profil dumny, szlachetny... Skóra jak kość słoniowa.

PROFESOR.

(*Wybuchając*) Ładna historia — niema co mówić! Jakże wyobrażasz sobie właściwie jej ciąg dalszy?...

HRABIA.

(*Budząc się niejako*) Co?... Ach! Boję się bardzo, że nie będzie dalszego ciągu. Mam smutne przeczucie, że nie ujrzę już nigdy panny Krystyny. — I dlatego może będę z powodu niej cierpiał — może — Ona mnie zresztą pewnie nienawidzi.

PROFESOR.

Z tego punktu widzenia jest mi ta rzecz obojętna. Ale nie chcę skandalu. Jeśli dowie się jej ojciec...

HRABIA.

(*Zastanawiając się pogodnie, jakby właściwie nie rozchodziło się o jego sprawę*) Ojciec? Słusznie! Masz rację. — Z pewnością powiedziała już ojcu. Bo to jest typ, który się nie wstydzi. Typ bezwzględny — mści się natychmiast — nie nie ukrywa przed światem — na cały głos krzyczy z gniewu. — Co ludzie powiedzą — o to nie dba. Lubię ten rodzaj bajecznie.

PROFESOR.

Widzę, że pobyt u ciebie nie jest dla mnie. Jestem pewny, że dziś, jutro wpadnie tu jej ojciec albo narzeczony... Nienawidzę takich rzeczy...

HRABIA.

(*Ucieszony*) O — już wiem! Już wiem!

PROFESOR.

*(Podejrzliwie)* Co znowu?

HRABIA.

Nazywała się Anna... wiem, Anna.

PROFESOR.

*(J. w.)* Kto?

HRABIA.

Dziewczyna, którą przypomina mi kasztelanka.

*(profesor robi gest rozpaczliwy).*

SEKRETARZ.

*(Zaciekawiony)* Anna?

HRABIA.

Niech pan sobie głowy nie łamie. Tej kobiety nigdy pan nie znał.

SEKRETARZ.

*(Prawie obrażony)* Co? Ja nie znalazłbym kobiety, która kiedykolwiek podobała się panu hrabiemu?

HRABIA.

*(W myślach)* To było dawno... bardzo dawno.

*(Sekretarz idzie do altany, zamyka książki rozłożone na stole — bierze swój kapelusz, ale jeszcze się nie żegna, tylko obserwuje zdaleka, niespostrzeżenie hrabiego).*

Tyle lat — dziewczyna była cudna.

PROFESOR.

*(Nagle bez goryczy, ale jakby zdziwiony)* I my dwaj jesteście braćmi?!

HRABIA.

(*Znowu się »budzi« z uśmiechem.* Tak... podobno.

PROFESOR.

Jakie to dziwne.

HRABIA.

(*Klepie profesora, śmiejąc się, po ramieniu*) Ha, mój drogi... odzwyczaiłeś się trochę odemnie. Patrzysz na mnie ze strachem, jak na całkiem nie znane zwierzę. A i ja mam niekiedy takie uczucie, jakbym widział cię po raz pierwszy. Żeby uświadomić sobie kim jesteś — powtarzam sobie w myślach słowo »brat... mój brat«. Ale co znaczy słowo? Albo mówię sobie, że znam cię już kilkadziesiąt lat! Ale prawdopodobnie mam jeszcze starszych znajomych od ciebie..

PROFESOR.

Twój głos nie podoba mi się. — Może masz naprawdę gorączkę?

SEKRETARZ.

(*Kłaniając się*) Panie hrabio...

HRABIA.

Ach, idzie pan — dobrze.

SEKRETARZ.

Idę, ale w tej chwili wrócę. Nie mogę zostawić pana hrabiego samego... w tym stanie.

HRABIA.

W jakim stanie? Co pan mówi? Jestem trochę podniecony. To wszystko. Czuję się wybornie... (*tonem*

*chytrym*) Proszę kłaniać się odemnie żonie. — Powie jej pan?

SEKRETARZ.

*(Niewyraźnie)* Dziękuję!

HRABIA.

*(Z pół-uśmiechem)* O, pan jej nic nie powie.

SEKRETARZ.

*(Bardzo zmieszany)* Dlaczegoż nie miałbym...

HRABIA.

*(Śmiejąc się szczerze, prawie dziecinnie)* Nie wiem dlaczego? Bo pan dziwak — dlatego. *(naruszając się, bardzo poważnie)* Podoba się pańskiej żonie na wsi?

SEKRETARZ.

*(Znowu uspokojony)* Bardzo, bardzo... Zawsze sobie tego życzyła. *(z uśmiechem)* Ogromnie szczęśliwa, że może trzymać sobie kury, kaczkę...

HRABIA.

*(Życzliwie)* To mię cieszy. *(podaje życzliwie sekretarzowi rękę).*

SEKRETARZ.

*(Kłania się)* Sługa pana profesora.

PROFESOR.

Dowidzenia.

*(Sekretarz odchodzi).*

HRABIA.

*(Z uśmiechem)* Z pewnością nie pokłoni się ode mnie żonie.

PROFESOR.

Przecież wcale jej nie znasz.

HRABIA.

Nie. — Poczciwiec nie chce zapewnie, żebyśmy się poznali. Ma mię może za niebezpiecznego człowieka. Czy to nie śmieszne? Służy u mnie od niepamiętnych czasów, a dotąd nie mówiłem jeszcze ani razu z jego żoną.

PROFESOR.

Ma rację.

HRABIA.

(*Szczerze zdziwiony*) O, dlaczego? Jest jedynym mężczyzną, któremu pod tym względem nie wyrządziłbym najmniejszej przykrości — zanadto go lubię.

PROFESOR.

Jego żona była przed chwilą tutaj.

HRABIA.

Tak? (*do lokaja, stojącego przy drzwiach domu*)  
Wina!

PROFESOR.

Ty chyba nigdy nie sypiasz.

HRABIA.

Owszem — i to się zdarza. — Ale dzisiaj mi się nie chce. Wiem, że nie zmrużyłbym oka. Zresztą ty możesz robić, co chcesz.

PROFESOR.

Ja zawsze robię to, co chcę.

HRABIA.

(*Grzecznie*) Choć naturalnie cieszyłbym się bardzo, gdybyś zechciał dotrzymać mi towarzystwa. (*lokalaj przynosi wino i kieliszki*) Czuję jakiś dziwny niepokój. (*chce nalać profesorowi wina*) Można?

PROFESOR.

Pod żadnym warunkiem,

HRABIA.

Nie nalegam. (*wypija wino duszkiem*) Mam pragnienie.

PROFESOR.

(*Wyjmując zegarek z kieszeni*) Pozwól — zobaczę, czy masz gorączkę.

HRABIA.

(*Tonem profesora*) Pod żadnym warunkiem.

PROFESOR.

(*Z fachowem zainteresowaniem*) Gdzie jest ta rana?

HRABIA.

(*Wesoło*) Nie trudź się. Jak oberwę nową, poproszę cię, żebyś mi ją opatrzył.

PROFESOR.

(*Zirytowany*) A nie ulega najmniejszej kwestyi że wkrótce się to stanie...

HRABIA.

Być może.



PROFESOR.

Co za niegodziwość. Nie pojmuję poprostu. Jeśli się uwzględni, że to narzeczona...

HRABIA.

(*Z uśmiechem*) Właśnie! Ten szczegół jest ważny — ogromnie podnosi jej wartość. — Wziąłem ją drugiemu! (*wzdycha*) Niestety wiem z doświadczenia, że jej już nigdy nie zobaczę. (*pije*) Nigdy w życiu! (*do lokaja*) Możesz zgasić lampę i pójść spać.

(*Lokaj gasi lampę w altanie i odchodzi, od tej chwili jest na scenie tylko światło księżyca*)

Bo już raz zdarzyło mi się coś podobnego... Dawno, bardzo dawno... Nazywała się Donna Anna... I także była narzeczoną... Była taką, jak Krystyna... Miała także twarz dumną, usta gorące, a oczy zimne... I noc była duszna... powietrze pachniało oddechem róż i włosów kobiecych... (*szybkim, dziwnym tonem*) Byłem przebrany za narzeczonego Anny. Potem w ogrodzie zesłał na mnie los jej ojca, Don Gonzala, komandora.

PROFESOR.

(*Przerażony*) Co ty mówisz za rzeczy? Co?

HRABIA.

I zabiłem komandora. — Musiałem — trudno. Za to potem komandor mnie zabił. — Ale tylko pozornie, bracie kochany, tylko pozornie...

PROFESOR.

Majaczysz!

HRABIA.

...Bo jestem wieczny.

PROFESOR.

(*Wstaje drżący*) Ach...

HRABIA

Bo mnie nie można zabić.

PROFESOR.

Gorączkę masz, a pijesz...

HRABIA.

(*Cicho*) A jeśli kiedykolwiek przytrafi mi się to samo, znowu wstanę — przysięgam ci — znowu wstanę...

PROFESOR.

Zwaryowałeś...

HRABIA.

Ha, ha...

PROFESOR.

(*Usiadł znowu, tonem wściekłym, pogardliwym*)

W każdym razie wcześniej czy później musisz zwaryować. Bo kobiety cię zniszczą. Znam kobiety doskonale. Aż nadto...

HRABIA.

Ty?

PROFESOR.

Jako lekarz!

HRABIA.

(*Ironicznie*) Ach tak!

PROFESOR.

Ginekolog.

HRABIA.

(*J. w.*) Ach, naturalnie. —

PROFESOR.

A kto ma tyle doświadczenia, ten dziwi się, ten pyta: Czy kobiety zasługują na to, żeby mężczyzna żył tylko dla nich? Człowieku, zlituj się! Co to warte? Zastanów się! — Co to kobieta?

HRABIA.

(*Z uśmiechem*) Tego jeszcze nie wiem. Staram się dojść tego... przez całe życie. Wiem niesłychanie dużo i nic. Raz spojrzały na mnie oczy jak noc — a raz oczy jak niebo. — Usłyszałem raz śmiech cichy jak szelest jedwabiu, a raz jasny jak dzwonek poranny. I zapachniały mi raz włosy jasne a raz czarne. — Ale co to jest? Może dojdę tego kiedyś po kilku wiecznościach... Staram się, musisz przyznać, rzetelnie i nie mam z pewnością żadnej innej troski.

PROFESOR.

Więc życzę ci innych trosk — poważniejszych. Zajmij się choćby administracją twego majątku, który nabyłeś nie wiem po co...

HRABIA.

Tę wieś kupiłem dlatego, że mi się narazie sprzykrzyły kobiety w mieście.

PROFESOR.

Radzę ci seryo poświęć się rolnictwu! Zmienisz się kompletnie, staniesz się człowiekiem.

HRABIA.

Kiedy nie mam czasu poświęcić się rolnictwu. A myślę, że i tak jest za dużo ludzi, którzy tylko zarabiają pieniądze. Za to nikt nie poświęca się całą duszą miłości. Należę dziś do tych nie wielu mężczyzn, którzy za nadto cenią kobietę, żeby ją z roztargnieniem całować między biesiadą a interesem.

PROFESOR.

(*Złośliwie*) Więc zdziwisz się, jeżeli ci powiem, co sądzi o twoim trybie życia, pewna piękna pani a w dodatku żona twego sekretarza i gorącego wielbiciela.

HRABIA.

(*Żywo z uśmiechem*) Co powiedziała o mnie? Co?

PROFESOR.

Powiedziała, że prawdziwy mężczyzna pracuje. — I dziwiła się jak pan hrabia — taki próżniak...

HRABIA.

(*Śmiejąc się*) Próżniak? doskonale!

PROFESOR.

...Może się podobać kobietom.

HRABIA.

(*Wstaje z radości*) Ależ ona musi być świetna!

Czy jest młoda? Powiedz! Dotąd widziałem ją zawsze tylko z daleka. Jakie ma oczy jaką pleć?

PROFESOR.

(*Zrozpaczony*) Nie, z tobą nie można mówić!

HRABIA.

(*Chodząc po scenie*) Prostu ją widzę... Ha, ha... Cudowna! Typowa mieszcanka. »Mężczyzna pracuje« — naturalnie! (*śmieje się cicho, nagle spostrzega coś za sceną, patrzy w lewą stronę i woła*) He — kto tam? Co za stworzenie skrada się tam po ciemku? Kot czy człowiek?

## SCENA V.

PROFESOR, HRABIA, HANIA.

HANIA.

(*Dziewczyna najwyżej czternastoletnia, bosa w krótkiej spódniczce z czarnymi warkoczami, wchodzi powoli i nieśmiało z lewej strony; głosem bardzo zmieszonym prawie płacziwym*)

Człowiek...

HRABIA.

(*Śmiejąc się*) Ale bardzo jeszcze młody — co?

HANIA.

O, pan hrabia sam powiedział że już wyrosłam.

HRABIA.

No tak... i dlatego awanturujesz się po nocy?

HANIA.

Teraz jest tak ładnie w ogrodzie!...

HRABIA.

(*Do profesora*) To Hania... córka mego ogrodnika.

PROFESOR.

Tu nawet dzieci nie chcą spać — straszne!

HRABIA.

Może przyznasz się teraz dlaczego przedtem  
płakałaś?

HANIA.

Bo umarł ktoś...

HRABIA.

Kto?

HANIA.

Nasz pies.

HRABIA.

Ale pocieszyłaś się już, prawda?

HANIA.

Troszeczkę, bo w ogrodzie jest księżyc.

HRABIA.

Co za dziwna pociecha.

HANIA.

Teraz wszystko inaczej wygląda.

HRABIA.

Niby co?

HANIA.

Ot tam... (*pokazuje na prawo od widza*) koło domu,  
ta woda, co leci do góry...

HRABIA.

Fontanna?

HANIA.

A tam... (*pokazuje na lewo od widza*) takie drzewa  
jak w raju. A pod drzewami stoi duża, duża..., pani  
w kapeluszu z piórami.

HRABIA.

(*Żywo*) Pani!?

HANIA.

Tak. — Stoi i czeka i patrzy na pałac...

HRABIA.

(*J. w.*) Dlaczego przedtem nie powiedziałaś?

HANIA.

Z początku myślałam, że to jest tylko duch...

HRABIA.

(*Z uśmiechem*) Tylko...

HANIA.

Ale potem zobaczyłam, że to jest panna Krystyna.

PROFESOR, HRABIA.

Co? Nie może być?

HANIA.

(*Cofa się przestraszona niespodzianem wrażeniem, jakie  
wywołała.*)

Tak, panna Krystyna... Ta, z tamtego dworu...

HRABIA.

(*Szybko*) Wiesz na pewno? — Znasz ją?

HANIA.

(*J. w.*) Tak, tak!

HRABIA.

(*J. w.*) I stoi tam pod drzewem — mówisz — i czeka. — Po co czeka?

HANIA.

(*Cofając się ciągle*) Nie wiem...

HRABIA.

(*J. w.*) Dlaczegoż tu nie przyjdzie?

HANIA.

(*Placźliwie*) Nie wiem... (*Hania ucieka szybko na prawo*)

HRABIA

(*Do profesora*) I cóż ty na to? Ona przyszła? — Ona tu jest! — Czy to możliwe? Jak bajka! I cóż znaczy doświadczenie mego długiego życia! Kiedy kobiety są zawsze inne, zawsze inne... (*Z uśmiechem*) Coś przeczuwam, coś radosnego, ale boję się uwierzyć w to, co myślę... Ona stoi tam w ciemnym ogrodzie i waha się... serce jej bije... Ale zawołam ją!

PROFESOR.

(*Cicho*) To niepojęte... Idę! (*chce iść*)

HRABIA.

Proszę cię — na chwilę na, chwileczkę. — (*Bie-*



*rze profesora za rękę*) Bo ja, czy to nie jest dziwne? drzę cały, drzę... Mam zawsze w takich chwilach napać jakiegoś lęku... Tak jak są aktorzy, cierpiący na treść... przed każdym występem... Sekundę tylko, sekundę... tak... (*puszcza rękę profesora*) dziękuję — przeszło. Jestem spokojny. Prawda, że już nie jestem błądy? Czuję, że nie... Możesz iść, teraz ją zawołam!

PROFESOR.

Pobyt u ciebie nie jest stanowczo dla mnie. (*odchodzi na prawo*).

HRABIA.

(*Stoi chwilę trzymając rękę na sercu, potem idzie kilka kroków w tył na lewo i woła głośno*)

Kto tam? (*po chwili głośniej*) Kto tam? Proszę do mnie, tu do mnie! Jestem w domu sam.

(*Cofa się powoli naprzód sceny, aż staje mniej więcej dwa kroki od widowni*).

## SCENA VI.

KRYSTYNA, HRABIA.

*Krystyna, młoda arystokratka, szlachetne rysy, wytworne ruchy, w angielskiej sukni, ciemnej, obcisłej, w kapeluszu z piórami; wchodzi z energią podkreśloną, tylko zewnętrzną, chcąc niejako pokazać, że nikogo się nie boi i że wszystko jest jej obojętne; twarz jej zastonięta jest z początku grubą woalką.*

HRABIA.

*(Idzie dwa kroki ku niej, wahając się na pozór i niby nie wiedząc do kogo mówi)*

Dobry wieczór...

*(Krystyna odstawia twarz gestem trochę teatralnym. Hrabia poznaje ją niby dopiero teraz; głosem zdumionym)*

Ach!... *(cofając się)* to pani!...

KRYSTYNA.

*(Głosem, który ma być dumny i pogardliwy, a jednak drży mocno)*

To ja... podły!

HRABIA.

*(W postawie pełnej skruchy i respektu, a przytem jakby na nowo oczarowany jej pięknoscią, mówi coraz cieplej)*

Niech mi pani wybaczy, że jeszcze jestem. Wiem dobrze co powinienem był uczynić. A jeżeli dotąd się nie zabiłem, to wstrzymywała mnie jedynie tajemna nadzieja, że może przecie raz jeszcze, gdzieś.. ukradkiem zobacze panią. — Ale pani przysła z pewnością tylko dlatego, żeby przekonać się o mej śmierci i uspokojona wrócić potem do domu. Od owej nocy bezustannie cierpiałem męki — od owej nocy poznałem piekło. Tysiąc razy przeżywałem na nowo, jedną godzinę — boleśnie tęskniąc — jedną minioną godzinę nadziemskiego szczęścia. Ciągle wyobrażałem sobie panią — a przytem wiedzałem, że już nigdy..

nigdy... Ach, czy może pani sama przynosi mi śmierć? Jeżeli tak, dziękuję gorąco za jej litość i dobroć...

KRYSTYNA.

Nie mam litości — dla pana — nigdy. —

HRABIA.

Czuję, że nie. — Przez te dni ostatnie ciągle czułem zdala gorącą nienawiść pani. Przez te dni cierpiała pani tak samo jak ja na straszne pragnienie. Ani spać, ani jeść, ani modlić się... Cudne oczy pani są chore, zmęczone od nienawiści. W oczach pani widzę noce duszne, blade, które z nienawiści spędziłaś bezsennie. Leżeliśmy zdala od siebie, ale nienawiść pani śniła o mnie tak jak moja miłość śniła o pani. —

KRYSTYNA.

Nieprawda! Ja tylko pogardzałam... pogardzam... panem... Brzydę się...

HRABIA.

(*Powoli*) I przyszła pani tylko dlatego, żeby przekonać się o mej śmierci...

KRYSTYNA.

Tylko ze wstrętu nie mogłam spać w nocy. Splamił mi pan młodość. — Splamił mi pan słońce... A kiedy rano otwieram oczy płaczę ze wstrętu. — A kiedy suknie wdziewam, które nosiłam przed tem, płaczę. — A kiedy całuje mnie ojciec...

HRABIA.

(*Cicho, podstępnie*) Czy ojciec pani mnie zabije?

KRYSTYNA.

A nawet kiedy myślę o śmierci pana, wstręt czuję. Musiałby pan zniknąć całkiem, zniknąć z mego życia. — A czy to możliwe? Czy żyję tylko dniem dzisiejszym i jutrzejszym? Czy nie żyje ze mną i wczoraj i przedwczoraj. Splamił mi pan przeszłość! Splamił mi pan dumę. — A kiedy myślę o narzeczonym — płaczę.

HRABIA.

(*J. w.*) Czy narzeczony mię zabije?

KRYSTYNA.

O, pan wie co pana czeka! Pan wie, że nie jestem ani głupią chłopką, ani potulną mieszczańką, która ze wstydu milczy jak biedna grzesznica i cicho znosi swój wstyd. — (*Silnie*) Ja się nie wstydzę! Ukarzę pana jak złego psa. Nie boję się o swój honor. Głośno będę krzyczała: zabijcie go! — zabijcie psa!! — I dlaczego miałabym się wstydzić? Czy mój honor rośnie jak chwast jakiś na publicznej drodze, tak że kto chce może go zdeptać? — Głośno będę krzyczała..

HRABIA.

Tak. — Pani jest taka, a nie inna. — (*Zbliża się do niej nieznacznie*) Wiedziałem, że pani nie jest biedną grzesznicą... od owej nocy, aż do dzisiaj czekałem na ojca pani. — Wiedziałem, że pani powie mu wszystko,

nie dbając o swój honor — jemu albo narzeczonemu..  
Byle mnie tylko spotkała zasłużona kara... (*Powoli  
chytrze*) Czy już im pani powiedziała?

KRYSTYNA.

(*Z pewną trudnością*) Jeszcze nie...

HRABIA.

(*Cicho*) Ach — nie. — Więc nikomu, dotąd nikomu... (*Mała pauza*). (*Hrabia zbliża się do Krystyny powoli, cicho jak kot.*) (*Hypnotyzuje ją wzrokiem, odległość między nimi jednak się nie zmniejsza, bo Krystyna instynktownie się cofa*) To dziwne. — Dlaczego nie? (*Oboje stają*) Co, Krystyno? Przecież jesteś niewinna. Zwierzę rzuciło się na ciebie. Przecież nie wstydzisz się. Z tem co się stało, nie masz nic wspólnego. A więc? — Dlaczego dotąd nie krzyczałaś głośno? Co? (*Krystyna stoi blada, wyprostowana — za nią jest stół, tak, że nie może się już cofać*).

Może mam się dobrowolnie stawić? Co? Zapewne chcesz, żebym sam do nich poszedł. Powiedz słowo, a zrobię to. Pójdę do twego ojca...

KRYSTYNA.

(*J. w.*) Nie...

HRABIA.

Albo do narzeczonego. Przecież sto razy milsza jest śmierć niż ciągle pragnienie, beznadziejna tęsknota za tobą. Czekam twego rozkazu. Powiedz.

KRYSTYNA.

*(Rozpaczliwie)* Nie, nie!

HRABIA.

Nie chcesz? *(zbliża się do niej znowu i patrzy jej z uśmiechem w oczy)* Więc może jesteś przecież biedną grzesznicą? Co, Krystyno?

KRYSTYNA.

*(J. w.)* Precz!

HRABIA.

Więc może masz przecież coś wspólnego z tem, co się stało? Może jeszcze czujesz ową noc, czujesz ją ciałem, duszą — istotą całą... Może dlatego nie wołasz »zabijcie psa«? Nie jesteś wolna. Nie jesteś już dumna.

KRYSTYNA.

*(Ze łzami)* Precz, precz!

HRABIA.

Moją jesteś. Widzę to Krystyno, czuję. — Widzę łzy w twoich oczach. Te łzy, które kocham najwięcej u kobiet. I tylko kobiety, które mnie kochają, płaczą temi łzami.

KRYSTYNA.

Pan nie ma sumienia.

HRABIA.

*(Z radosnym tryumfem)* Nie mam, nie mam! *(obejmuje ją)* Mego sumienia niema, bo ty jesteś... Bo ty jesteś. — Dlaczego zaciskasz usta? Otworzę je

mojemi ustami... I te usta czerwone i ta twarz blada...  
moje, wszystko moje? (*Śmieje się szczęśliwie, pogodnie*)  
Czy przyszedłś powiedzieć mi, że nie mam sumienia?  
Dlatego przyszedłś??

KRYSTYNA.

(*Biernie ze łzami*) O gdybym mogła umrzeć...

HRABIA.

I dlatego nie przyszedłś. Nie, Krystyno. — Bo nie  
czułabyś wtedy, że cię obejmuję, kocham. A przecież  
za tem tęskniłaś... przez pięć długich nocy, tęskniłaś  
za tą jedną krótką nocą, w której cię poznałem...

KRYSTYNA.

(*Prawie krzycząc*) Przyszedłam, żeby cię zabić...

HRABIA.

(*Łagodnie*) Myślisz? Czy wiesz sama, dlaczego  
przyszedłś? Może dlatego, żeby się dowiedzieć odemnie,  
czego chciałaś... (*Zgina jej głowę w tył i całuje ją w usta*)  
Odemnie masz wolę twoją...

KRYSTYNA.

(*Cicho*) Żeby cię zabić...

HRABIA.

(*Biorąc Krystynę za rękę*) Noc krótka... Lato...  
Chodź! Mówiąc z tobą, bałem się o każdą minutę —  
ciągle myślałem »czas mija — a noc krótka«

(*Krystyna rzuca mu się do nóg; on schyla się do niej  
i głaszcze ją*)

Chodź... (*czule a litośnie*) ...dumna kasztelanko!

KRYSTYNA.

*(U stóp hrabiego)* Już nie jestem nią... kim jestem?

HRABIA.

Jesteś tą, którą kocham.

KRYSTYNA.

*(Wstaje, wyciąga z za gorsu sztylet i rzuca go na stół)* Patrz... przyszłam żeby cię zabić.

HRABIA.

*(Bierze sztylet do ręki i ogląda go z uśmiechem)*  
Tem? Ach! Jakie to ładne..! Jak z dawnych czasów...  
*(Obejmuje Krystynę)* Chodź! *(Prowadzi ją przez wschody do pałacu)* Drzewa już się budzą... Znam tę muzykę...  
zwiastuje dzień... Ale tam *(pokazuje w górę na okna pałacu)* ...Świeci się czerwona lampa...

KRYSTYNA.

Ty... panie mój...

HRABIA.

Noc krótka...

*Kurtyna.*



## AKT II.

»Hall« w pałacu hrabiego. Bardzo wczesny ranek. Naprzeciw widowni drzwi szklane, zasłonięte firanką — i olbrzymie okna; przez lewe okno widać dużą akację w pełnym kwiecie, potem łąki i drzewa parku w szaro-fioletowem świetle — prawe okno także jest zasłonięte.

Lewa ściana: we środku profil ciemnych, drewnianych schodów; w tyle wyjście na korytarz; na przedzie, w kącie, między schodami a ścianą mała sofa.

Prawa ściana: na przedzie biurko pokryte papierami i. t. d., we środku drzwi do pokoju profesora, potem sofa i krzesła, w tyle wyjście na korytarz.

## SCENA I.

SEKRETARZ. HRABIA.

*(Sekretarz otwiera lewe okno, potem idzie w kierunku biurka; w tej chwili schodzi na dół hrabia. Sekretarz staje, a potem idzie naprzeciw hrabiego).*

SEKRETARZ.

*(Z głębokim ukłonem) Uniżony sługa pana hrabiego! (Hrabia milczy — jest trupio bładny)*

*(Hrabia idzie zamyślony naprzód i ogląda sztylet Krystyny)*

SEKRETARZ.

Cudowny poranek. — Pan hrabia jest trochę osłabiony, ale myślę że gorączka minęła. Chwała Bogu! Śliczny poranek.

HRABIA.

*(Pokazując sekretarzowi sztylet)* Widzi pan?

SEKRETARZ.

Ach! pan hrabia pozwoli. *(Bierze sztylet do ręki i ogląda go, rzeczowo)* Ładna rzecz; misterna robota.

HRABIA.

Za pomocą tej misternej rzeczy chciała mnie panna Krystyna wyprawić na tamten świat... *(Siada na sofie po lewej stronie)*

SEKRETARZ.

*(Poruszony)* A!... tak... *(po krótkiej pauzie)* Jednak tylko chciała, na szczęście. *(Idzie do biurka i kładzie sztylet)*

HRABIA.

Niestety, tylko chciała...

SEKRETARZ.

*(Przystępuje znowu do hrabiego)* Pan hrabia co rozkaże?

HRABIA.

Co za szkoda, że tego nie zrobiła!

SEKRETARZ.

*(Domyśla się w jakim usposobieniu jest hrabia)*  
Hm... tak... *(Nagle)* Czy nie sądzi pan hrabia, że byłoby znacznie przyjemniej, gdyby świeciły się wszystkie lampy... Zaraz poprawiłby się humor.

HRABIA.

O, niech pan się nie trudzi. Mnie nie pomoże już żadna iluminacja.

SEKRETARZ.

*(Po chwili)* Zresztą nie potrzebujemy lamp — za chwilę będzie słońce. Będzie nam znowu świeciło, tak pogodnie jak wczoraj i zawsze.

HRABIA.

Nie chcę słońca.

SEKRETARZ.

*(Patrzy najpierw bezradnie na hrabiego, potem mówi szybko)* Wczoraj raczył pan hrabia przemówić do małej Hani kilka słów i natychmiast z radości stała się piękną. To fenomen. Kobiety z łaski pana hrabiego kwitną.

HRABIA.

Nieprawda; kobiety giną z mojej łaski. Niech pan tylko zapyta, co się stało z dumnej panny Krystyny...

SEKRETARZ.

Kochanka pana hrabiego.

HRABIA.

Ona była moją kochanką.

SEKRETARZ.

Stalość przystoi burżuazyi. Ale gust pana hrabiego jest za subtelny, żeby się ciągle nie zmieniał.

HRABIA.

Za moją kasztelanką płaczę jak waryat. — Za nią żal mi jest nieskończenie.

SEKRETARZ.

O, jeśli pan hrabia tylko zechce; to ona wróci, sto razy wróci.

HRABIA.

Kasztelanka nigdy nie wróci. Bo Krystyna nie jest już kasztelanką. Rzuciła mi się do nóg. Spokorniała i zmiękla. — Jest teraz nędznem stworzeniem, które ze łzami żebrze o moją miłość! — Jest okropną!

SEKRETARZ.

(*Bezradnie*) Może przecież podkrećcić wszystkie lampy?

HRABIA.

I już wiecznie pozostanie żebraczką. Jej pokora będzie mnie prześladowała jak upiór. Zniszczyłem to, co było w niej najpiękniejsze — kasztelankę! I tak niszczyć zawsze w każdej kobiecie, co w niej najpiękniejsze. To właśnie czego najboleśniej pragnę.

SEKRETARZ.

Wkrótce zjawi się, jak nowa młodość, nowa ko-

bieta. A potem znowu inna i znowu inna. — I wiele razy wschodzi słońce w roku.

HRABIA.

Niechże pan nie mówi tak dźwięcznym głosem! Najbardziej irytującą właściwością pańską jest to, że pan mówi rano tak głośno i wesoło, jak w samo południe.

SEKRETARZ.

A może byłoby najlepiej zgasić wszystkie lampy. — Zrobię to. (*Skreca światło; przez okno widać teraz czerwone niebo*) Żeby pan hrabia zobaczył, jak czerwieni się już niebo. — O, tam zaraz pokaże się słońce.

HRABIA.

Przecież raz musi nadejść mój koniec. Dotąd nie myślałem o tem, że człowiek powinien niekiedy spać. Aż tu nagle mam uczucie, że za karę mogę zostać skazany na sen dłuższy, niż wszystkie noce mego życia.

SEKRETARZ.

Proszę sobie przypomnieć, ile razy mówił pan hrabia, że wcale nie wierzy w śmierć swoją.

HRABIA.

A jednak w tej chwili ją czuję. Jak gdyby była już blisko. — Czuję wprost jej zapach!

SEKRETARZ.

Pan hrabia raczy sobie przypomnieć, że już nieraz przeżył takie godziny smutku. A zapach, który

czuje pan hrabia, pochodzi z akacyi kwitnącej w parku. — A i ta akacya kwitnąca przeżyła już wiele takich godzin. Uczucie przykre, ale całkiem prawidłowe, które powtarza się regularnie w życiu pana hrabiego, a nawet, proszę mi wierzyć — wogóle w życiu.

HRABIA.

A jednak... nigdy nie było tak jak dzisiaj

SEKRETARZ.

I to już powiedział wiele razy pan hrabia. — I nie tylko pan hrabia. To niejako zwrotka powszechna w życiu. — Można by tak samo powiedzieć, że jeszcze nigdy niebo poranne nie było tak czerwone jak dzisiaj. (*Pokazuje na okno*) O proszę spojrzeć.

HRABIA.

(*Oglądając się*) Tak... hm... (*wstając*) Można bądź co bądź... popatrzeć. — (*Idzie do lewego okna, sekretarz za nim*) Ma pan po części rację... Może przeżyłem w istocie już nieraz takie chwile. (*Wychyla się przez okno*) Ach — to dziwne.

SEKRETARZ.

Co, panie hrabio?

HRABIA.

Teraz akacya pachnie jakoś inaczej. (*Żywo*) Ach, jakże śliczna jest kwitnąca akacya. Jak biała kobieta... biała... (*szybko*) Czy nie mówił pan przed chwilą o jakiejś dziewczynie?

SEKRETARZ.

Mówilem że Hania przez noc stała się piękną.

HRABIA.

Ale ja nie o niej myślę teraz — nie o niej — ale o kim? Sam nie wiem. O jakiejś kobiecie, która jest taka jak ten zapach. Ale o jakiej? Widzę ją wprost, a nie znam... Może jeszcze nie znam? (*z pewną nadzieją*) Czy może być dla mnie jeszcze coś nowego?

SEKRETARZ.

Każdy dzień jest nowy, panie hrabio.

HRABIA.

Teraz znoszę już pański głos. Przyznaję, że przed chwilą trochę mię drażnił. Tak jak razi dzienne światło, kiedy się wyjdzie z mrocznej sypialni do ogrodu. Pan jest — ha, — ha — trochę za trzeźwy.

SEKRETARZ.

Tak, wiem... to mój błąd, niestety.

HRABIA.

Ale zarazem i pańska cnota. (*ciepło*) Panie drogi, czy pan zna swoją wartość? Pan robi dla mnie — rzeczy niesłychane — pan mi poprostu ratuje życie! Gdyby nie pan, byłbym umarł z jakiegoś niepojętego wstępu... Mówi pan rzeczy, które wiem sam od dawna — a jednak, kiedy pan je mówi...

SEKRETARZ.

(*Żywo*) Tam słońce wschodzi!

HRABIA.

*(Tak samo jak sekretarz — ale radośniej)* Tam..  
dziewczęta idą w pole! *(z coraz większym zapalem)* Sześć  
osiem — cała gromada. Jak cudnie idą, idą... Kiedy  
szumiąc z wiatrem kłaniają się duże kłosa — serce  
moje wie, że to piękne. I kiedy ciemne fale morskie  
podnoszą się i spadają — raduję się, bo to piękne —  
znam piękność, która jest w locie jaskółek, cierpię  
z tęsknoty na widok płynących łabędzi. — Ale tam,  
panie — tam — tam — w ruchu tych słodkich ciał  
kobietych jest wszystko — cała muzyka życia, na  
wodzie i ziemi.

SEKRETARZ.

Piękny poranek — rzeczywiście.

HRABIA.

O już nie trzeba mi pańskiej pociechy. Już je-  
stem sobą. Człowiek, którego pan pocieszał, siedzi  
może jeszcze, smutny jak cień, tam za wschodami  
w kącie... Ale ten silny, wieczny... tu stoi i czeka.  
Spodziewam się nowej miłości — tak, Leporello.

SEKRETARZ.

*(Dotknięty)* Bardzo proszę, nie Leporello.

HRABIA.

*(Śmiejąc się)* Do kroćset... to nie jest obraza, lecz  
honor! Pan jest moim Leporellem — nie ma rady.  
Bez pana nie byłbym nigdy lekkomyślny. Pan mnie  
podnosi, kiedy silne wino miłości upoi mnie aż do



najgłębszego smutku. Pan przypomina mi, że... będę zawsze. A teraz drzę z rozkoszy, jakbym już kochał. Kto ona, przyjacielu? Kto jest ta nieznajoma, którą kocham?

SEKRETARZ.

O jestem pewny, że niedługo będzie pan hrabia na nią czekał. Ale... przyszło mi na myśl, że tam, w domu czekają na mnie.

HRABIA.

Ach, widzi pan? Całą noc spędził pan tutaj.

SEKRETARZ.

Bałem się o pana hrabiego. Ale teraz myślę o żonie, która już pewnie bardzo boi się o mnie. I czuję coś w rodzaju nostalgii. Panie hrabio — jednak jest coś w życiu, czego pan nie zna i nie pozna — własna żona. Kto nie ma jej, ten nie ma domu.

HRABIA.

Nieprawda! Znam i to, choć nie mam żony. Niech mi pan wierzy, ile razy trzymam w objęciu kobietę, czuję silnie, aż do łez, że jestem w domu. Niema dla mnie obczyzny, gdzie jest kobieta. — A teraz niech pan idzie, niech pan już idzie. (*podaje rękę sekretarzowi*)

SEKRETARZ.

Ale pan hrabia obieca mi, że jeszcze się położy i spróbuje na chwilę zasnąć.

HRABIA.

Wcale nie. Jestem jak nowo narodzony. Pan sam przekonał mię, że trzeba żyć — a teraz chce pan zmusić mię do snu? Niech pan idzie. (*Sekretarz odchodzi na lewo*).

## SCENA II.

HRABIA.

(*Woła przez okno, ciesząc się dziecinnie samem wołaniem śpiewnie*)

Słońce już jest... (*chodzi po scenie nucąc*) Słońce — Słońce jest.

(*Potem idzie do drzwi zastoniętych firanką i otwiera je na oścież; morze złotego światła zalewa scenę, hrabia cofa się trochę i stoi kilka chwil oślepiiony. Teraz zjawia się na progu Zuzanna, jak inkarnacja słońca*)

## SCENA III.

HRABIA, ZUZANNA.

*W białej, trochę sztywnej sukni, piękna jak poranek i majestatyczna w swej mieszczańskiej godności, zaczesana z nadzwyczajną symetryą, trzyma w ręku jasny słomkowy kapelusz ubrany wstążką i dość dużą gałązką akacyi. Ponieważ przychodzi z jasnego parku więc w pierwszej chwili nie może poznać hrabiego stojącego w ciemnym pokoju. Hrabia idzie kilka kroków wstecz — pauza —*

*Zuzanna trzyma rękę nad oczami jak daszek. Bojaźliwie, dziecinnie, cicho*

ZUZANNA.

Jesteś tu?

*(Wchodzi, — hrabia cofa się jeszcze więcej: Zuzanna prawie płaczkliwie)*

Boże — nic nie widzę... Gdzie jesteś brysiu?

HRABIA.

*(Cicho, uprzejmie)* Pani zapewne szuka męża?

ZUZANNA.

*(Przerażona)* Ach! *(cofając się mimowoli)* Jeśli go niema. — Z pewnością nie byłabym przyszła, gdybym..

HRABIA.

*(Bardzo uprzejmie skromnie)* Ależ proszę! Może pani będzie łaskawa na chwileczkę usiąść *(spogląda na nią z admiracją niby nieśmiało)*

ZUZANNA.

Nie, nie. — Rzeczywiście nie chciałabym przeszkadzać. — Byłam pewna, że mąż mój...

HRABIA.

Mąż pani dopiero co odszedł. Może przed minutą...

ZUZANNA

*(Zmieszana)* Dzień dobry, do widzenia — *(chce iść)*  
Najmocniej przepraszam pana hrabiego.

HRABIA.

Ależ to mnie raczej wypada panią przeprosić.

Niewymownie żałuję, że noc dzisiejszą spędziła pani samotnie i zapewne bezsennie.

ZUZANNA.

O, o. Ta noc już minęła.

HRABIA.

A co do mojej winy, to nie jest ona przecież tak wielka, jak pani może przypuszcza...

ZUZANNA.

Ja nic nie przypuszczam wcale nic.

HRABIA.

Chociaż cenię wysoko dobroć i przyjaźń męża pani, to jednak musiałem go złażyć za jego bezwzględność wobec pani.

ZUZANNA.

Tak, tak — uprzejmie dziękuję. — Muszę już iść, panie hrabio. Wpadłam tu, nie wiem jak.

HRABIA.

*(Żywo, nieznacznie zagradzając drogę Zuzannie)*  
Czy to nie dziwne, że dotąd nie miałem sposobności przedstawić się pani? Przez tyle lat! Skąd to pochodzi? Widziałem panią już tyle razy ale zawsze tylko z daleka.

ZUZANNA.

*(Mimowoli; rumieniąc się)* Ja pana także — z daleka.

HRABIA.

(*Wesoło*) A co? To dziwne. (*Prosząc*) Ale na kilka minut chyba pani usiądzie.

ZUZANNA.

(*Zmieszana*) Nie, rzeczywiście — nie mogę.

HRABIA.

Dlaczego nie? Czy nie myśli pani, że wyglądałoby to dość śmiesznie, gdyby pani zaraz ztąd uciekła? Przecież nie uważa mię chyba pani za całkiem obcego człowieka! Z mężem pani znamy się przecież od dawna i jesteśmy z sobą w przyjaźni. A pani nie ma chyba żadnego powodu, żeby mnie tak konsenkwentnie unikać.

ZUZANNA.

Skądże? Naturalnie, że nie mam żadnego powodu — absolutnie żadnego.

HRABIA.

(*Bardzo uprzejmie, ale z pewną stanowczością w tonie*) Więc proszę. (*Zamyka drzwi środkowe; prawa strona jest w półcieniu; wskazując na fotel*) Bardzo proszę. (*Siada naprzeciw Zuzanny*)

ZUZANNA.

(*Siedząc: po chwili bardzo zakłopotana, komicznym tonem niby — konwersacyjnym*) Śliczną mamy dziś pogodę... (*Milknie; hrabia patrzy na nią z uśmiechem, wzrokiem drapieżnego zwierzęcia i czeka*) Tak cudowna pogoda. (*Milknie*) W parku pana hrabiego z pewnością nie wolno zrywać kwiatów i łamać gałęzi. — A ja

ukradłam tę gałązkę akacyi. — Choć mąż mój mówi, że to nie jest dozwolone... (*Śmiejąc się sztucznie*) Bardzo przepraszam. (*Chce powstać, ale zahipnotyzowana niejako wzrokiem hrabiego, natychmiast znowu siada; zmieszana jak dziecko*) A wczoraj... wczoraj była także śliczna pogoda. (*Milknie*)

HRABIA.

(*Poprostu*) Pani powiedziała że jestem próżniakiem.

ZUZANNA.

(*Zrywa się ze strachem*) Ach Boże.

HRABIA.

I że próżniak nie jest mężczyzną. (*Półgłosem słodko — rozkazująco*) Niech pani siada! (*Zuzanna siada posłusznie, odwraca głowę*) Szkoda, że nie wiem, jak to powiedzenie pani brzmiało dosłownie. Szkoda... To jedno jest pewne, że nie widziałem nigdy w życiu kobiety tak uroczej. — A co pani ma pod okiem?

ZUZANNA.

Aa — gdzie? To nic. — Znamię. — Mam to od dziecka.

HRABIA.

A biała gałązka, którą pani trzyma, naturalnie jest »dozwolona«, bo wygląda tak, jakby z pani wyrosła. — Tak, jakby i ją pani miała od dziecka — kwitnie na kolanach pani tak, jak na drzewie. (*Na*

*pół prosząc, a na pół pytając*) Może mi pani daruje tę gałązkę.

ZUZANNA.

*(Czerwona)* Ach nie. — Po co? Przepraszam bardzo, ale... niech pan hrabia rozkaże ogrodnikowi, żeby mu przyniósł drugą. — Przecież całe drzewo jest pana hrabiego.

HRABIA.

Ale tej gałązki, która leży na kolanach pani, i którą pani głaszczesz rękami, nie dostanę. Tej gałązki jakos pani dać nie chce. Bo pani mną pogardza!

ZUZANNA.

*(Prawie wściekła z zakłopotania)* Bo to zdaniem mojem nie wypada. Dlatego. Pan hrabia sam musi przyznać. — Nie wypada i już. Zresztą, coby to miało za cel?

HRABIA.

Pani pogardza wszystkim, co nie ma celu. Wiem, pani jest okropnie rozsądną kobietą. Dlatego też pogardza pani i moim trybem życia. Słyszałem. Spodziewam się, że pani ma odwagę i powtórzy mi wszystko, co pani wczoraj o mnie mówiła.

ZUZANNA.

*(Z coraz większą dumą i »godnością« choć w duszy drży ze strachu)* Przecież nie znam pana hrabiego. Nie mam zaszczytu. Dlatego nie mogłam nic pewnego o nim powiedzieć. Ale nie boję się nikogo. A to co

mówiłam o mężczyznach w ogólności — mogę śmiało powtórzyć. Nie jestem taką, jak pan hrabia myśli. Nie wstydzę się owego przekonania.

HRABIA.

(*Bez wyraźnej ironii*) O — przekonanie, to piękna rzecz. To mi imponuje.

ZUZANNA.

Cała nasza rodzina jest taka. Zapewne słyszał już pan hrabia niejedno o naszej rodzinie. — O moim ojcu, albo o dziadku, który był radcą miejskim.

HRABIA.

A!...

ZUZANNA.

Radcą miejskim. Wogóle — nie wszyscy ludzie są tacy, jak ci, których pan hrabia zna dotychczas. A zwłaszcza kobiety. (*Wstaje raptownie*) Tak — są kobiety, jakich nie zna pan hrabia. (*Z grandezką, drżącym głosem*) Teraz żegnam i jeszcze raz przepraszam.

HRABIA.

(*Wstaje, uprzejmie*) A tego co pani o mnie powiedziała, przecież nie chce pani powtórzyć.

ZUZANNA.

Jakto? Jakto nie chce? (*Z rozpaczliwą odwagą*) Powiedziałam, że mężczyzna, który nic nie robi, nie jest mężczyzną. Widzi pan hrabia! Powtarzam śmiało nie zważając czy osoba z którą właśnie mówię...



HRABIA.

Osoba, z którą droga pani mówi, nigdy w życiu nie nie robiła.

ZUZANNA.

W takim razie bardzo żałuję pana hrabiego...  
(*Chce odejść*)

HRABIA.

(*Idąc za Zuzanną; skromnie*) Może i ja będę siebie żałował. Od tej chwili. Jeśli pani zechce mnie łaskawie przekonać, że przez swoje próżniactwo zepsułem sobie życie. Proszę niech mnie pani przekona. Pani nie wie, jak chętnie uczę się nowych rzeczy. Zwłaszcza od kobiet, w których jest zawsze coś nowego... (*Zagradzając jej drogę*) Tak jak w życiu... (*Tonem grzecznego, ciekawego ucznia*) Więc pani sądzi, że wszyscy mężczyźni powinni pracować?

ZUZANNA.

Rozumie się. (*Cofa się*) Naturalnie, że wszyscy

HRABIA.

(*J. w.*) Doskonale. (*En passant, jak przedtem*) Niech pani siada. (*Zuzanna powoli siada ale głowę zgina w tył, nieufnie i podejrzliwie, tembardziej, że hrabia siadł bliżej niż przed chwilą*) I nie uznaje pani możliwości jakichś wyjątków?

ZUZANNA.

Któż mógłby być wyjątkiem? Żaden mężczyzna poważny, który chce coś znaczyć w świecie i... u kobiet.

HRABIA.

(*Skromnie*) Rozumiem, ale jeśli wszyscy mężczyźni bez wyjątku będą pracować to któż zajmie się kobietami?

ZUZANNA.

(*Drgnęła i jeszcze bardziej cofnęła głowę*) Ach! — pan hrabia drwi sobie ze mnie.

HRABIA.

Pytałem się całkiem poważnie.

ZUZANNA.

(*Znowu prawie ze złością*) Nie! Nie! — Zresztą, żeby pan hrabia wiedział — mój mąż nigdy mnie nie zaniedbywał.

HRABIA.

O zacnym małżonku pani w tej chwili nic nie mówiłem.

ZUZANNA.

(*Broniąc się całą mocą przeciw silnemu wrażeniu, jakie wywiera na niej hrabia*) A ja mówię o nim. Właśnie w tej chwili myślę o nim. Mój mąż mię kocha. A przecież nie zapomina o obowiązkach swego zawodu. Pan hrabia wie najlepiej, jak on sumiennie je spełnia. Od rana do nocy siedzi tutaj i pracuje. A taki sam był mój ojciec i wszyscy mężczyźni, którzy z nami żyli, byli tacy. Pracowali pożytecznie. I nie znam innych, nie chcę znać innych mężczyzn! — Żeby pan hrabia wiedział!

HRABIA.

Wiem. Wiem, że pani tak myśli. Ale też i wiem, jak pani czuje. Właściwie gorliwość, z jaką mężczyźni pracują w swoim zawodzie, jest pani zupełnie obojętną. Bo pani jest przede wszystkim kobietą... Odczułem to zaraz z biciem serca... A jako kobieta interesuje się pani tylko jedną sprawą w życiu. — Najważniejszą.

ZUZANNA.

*(Drżącym głosem, niby sucho i pogardliwie)* Nie pragnę wcale dowiedzieć się, co pan hrabia uważa za najważniejszą rzecz w życiu.

HRABIA.

*(Spokojnie)* Dowiedzieć się? Przecież pani to wie. Przecież pani wyłącznie dlatego żyje.

ZUZANNA.

*(Dotknięta głęboko, zapomina się)* Wyłącznie? To nieprawda.

HRABIA.

*(Cicho)* Więc pani przecież wie, o czym mówię.

ZUZANNA.

*(Prawie ze łzami)* Proszę mnie puścić do domu.

*(Hrabia bierze ją za rękę)*

Proszę mię puścić do domu.

HRABIA.

*(Łagodnie)* Proszę zostać.

*(Ponieważ Zuzanna mimowoli go słucha, mówi tym skromnym, niewinnym tonem jak przedtem).*

Chciałem tylko zwrócić uwagę pani na wspólność naszych celów życiowych. Zresztą nic... Chciałem zwrócić jej uwagę na to, że kobieta pozostanie tak długo niezrozumianą, dopóki nie spotka się w życiu ze inną, lub z takim jak ja. Chciałem pani powiedzieć, że jestem mężczyzną, którego nie obchodzi nic na świecie, prócz pani.

ZUZANNA.

*(Błąda)* Próż mnie — mnie?

HRABIA.

*(Ciepło, poprostu)* W tej godzinie jest mi pani wszystkim. Zresztą niech się dzieje co chce. Niech słońce zgaśnie, świat przepadnie. Pani, ja ani dnia jednego w życiu nie poświęciłem sprawom mniejszej wagi. Innemi słowy: nie pracowałem nigdy pożytecznie. Żyję zawsze dla sprawy najważniejszej. W tej godzinie żyję tylko dla pani. *(Naraz tonem zwykłym, rzeczowo, naiwnie).* Czy może mi pani wymienić drugiego mężczyznę, który żyje wyłącznie dla pani?

ZUZANNA.

*(Rozpaczliwie)* Ach! co pan wie! Co pan mówi! Pan nie ma pojęcia jak mój Bryś mię kocha.

HRABIA.

*(Ciekawie)* Bryś?..

ZUZANNA.

(*J. w.*) Nie, ja nie mogę dłużej mówić z panem hrabią. Zachoruję. Nie mogę..

HRABIA.

(*Ignorując jej słowa*) Pani mówi zapewne o swoim mężu. Ale mąż nie może wyłącznie żyć dla pani. To jest wykluczone. Bo mąż pani jest sumiennym sekretarzem i rządcą, a w dodatku moim najlepszym przyjacielem. Więc nie może poświęcić się pani zupełnie, choćby tylko przez jedną godzinę. Jest roztargniony, i tak być musi. Wszyscy mężczyźni, których pani zna i szanuje są roztargnieni. Bo muszą myśleć ustawicznie o swych pracach pożytecznych, i zasługach. W dzień... a niestety i w nocy. Nawet wtedy, kiedy całują piękne kobiety. Takie kobiety, jak pani. (*Czule*) Dlaczego pani odwraca się odemnie? (*Głaszcze jej rękę*) Pani ma łzy w oczach.

ZUZANNA.

(*Szorstko, głosem zachrypłym*) Proszę się mnie nie dotykać.

HRABIA.

(*Cicho, stając za nią*) Zuzanno... znam imię pani oddawna. Słyszałem je tylko raz, ale nie zapomniałem... Zuzanno... pamiętam imiona wszystkich kobiet... które prędzej czy później będę kochał... Zuzanno, chociaż pogardzasz mną w tej chwili... (*Patrząc przed siebie, wyprostowany, głosem słodkim, mistycznym*) Jestem

mężczyzną, który tylko dla was żyje... kiedy rano otwieram oczy, myślę o was... I myślę o was przez wszystkie godziny dnia bezustannie. Ani na chwilę nie mogę zapomnieć, że jesteście. A kiedy czasem zasnę, to jedynie dlatego, ażeby śnić o was. (*Pochylając się do niej*) Zuzanno... (*Tonem lekko trzępiotowatym, naiwnie błagalnym*) Proszę mi dać tę akacyę, która leży na pani kolanach.

ZUZANNA.

(*Zakrywając rękami gałązkę*) Nie. Nie dam. (*Waha się, broni przeciw ogarniającemu ją coraz silniej uczuciu*) Nie mogę. — Nie mogę, bo pan ma jakieś ukryte myśli. Pan chce mnie jakoś... złapać.

HRABIA.

Pani daruje mi tę akacyę. Chociaż powiem pani otwarcie, co sobie przy tem myślę. Myślę, że gdybym ucałował te białe kwiaty, byłoby to samo, jakbym dotknął się ustami tych rąk, tych kolan. — To sobie myślę. — A jednak da mi pani dobrowolnie gałązkę.

ZUZANNA.

Nie. Nie dam. Ani panu ani sobie. Jeśli uda mi się uciec z tego straszego domu, pójdę tam na drogę i wrzucę gałązkę do studni.

HRABIA.

(*Półgłosem*) Albo namyśli się pani, zbliży się znowu do tego straszego domu i wrzuci gałązkę przez okno do pokoju na znak...

ZUZANNA.

(*Przerażona*) Na znak?..

HRABIA.

Na znak, że chce mi pani darować nie tylko cząstkę siebie, ale...

ZUZANNA.

(*Oburzona*) Dosyć! dosyć! (*Zrywa się, chce uciec; hrabia chwytą ją za ręce i trzyma*) Pan jest najstraszniejszym mężczyzną, jakiego znam. (*Ze łzami*) Dlaczego pan mnie męczy? Uciekałam przed panem długie lata... Dlaczego nagle wybrał pan sobie mnie? Dlaczego? Może pan mieć tyle kobiet, ile panu się podoba. — Tyle pięknych, cudnych kobiet... Dlaczego chce mi pan wmówić, że jestem więcej warta od innych? Ja... Boże mój!.. cóż ja jestem?

HRABIA.

(*Obejmując ją*) Jesteś tą, którą kocham. (*Patrząc jej w oczy*) Jesteś niebem jasnym i ziemią gorącą. Jesteś zapachem, który mnie dziś rano zmusił do życia. Jesteś rannym słońcem, którego pocałunek czuję jeszcze na ustach. Jesteś drzewem w szacie śnieżnej, którego wszystkie kwiaty będą moje. — I nie wiesz jeszcze co to miłość. Nie, Zuzanno, dotąd nie wiesz! Dlaczego zamykasz oczy?

ZUZANNA.

(*Cichym, słabym głosem*) Proszę nie patrzeć. — Nie zniosę... Wzrok pana męczy.

HRABIA.

Wiesz dlaczego zamykasz oczy? Żeby się nie zacałowały na śmierć z mojemu oczami. Jesteś już od godziny kochanką moją! — a nie wiesz tego, nie chcesz wiedzieć. Ile razy obejmowałem cię dzisiaj w myślach, oczy twoje były posłuszne i także kochały.

ZUZANNA.

*(Rozpaczliwie)* Pan kłamie!

HRABIA.

Nigdy. Nie kłamałem nigdy w miłości. Choćbym chciał, nie mogę. Jestem skazany na szczerość. A także u ciebie nie zniosę kłamstwa. Zdemaskuję je, zniszczę. Usta pachnące przestają kłamać, kiedy ja całuję, całuję... *(Okrywa pocałunkami twarz, oczy, usta, włosy Zuzanny)* Jesteś moją!

*(Zuzanna jest biała jak płótno, oczy jej zamknięte; naraż wyrywa się z nadludzką siłą i krokiem chwiejnym zbliża się do drzwi; przytem zsuwa się na ziemię gałązka akacyi. Zuzanna schyla się, pada prawie na kolana i patrząc ze strachem na stojącego jak stęp hrabiego, tuli gałązkę, jak małe dziecko do piersi; hrabia pyta głosem spokojnym)*

HRABIA.

Kiedy dasz mi gałązkę, Zuzanno?

ZUZANNA.

*(Bezdzwięcznie)* Pan hrabia jest... podły!



HRABIA.

Nie, tylko szczerzy.

ZUZANNA.

*(Ocierając sobie twarz zalaną łzami)* Ja kocham  
męża!

HRABIA.

*(Jakby nie słyszał jej słów)* A niedługo i ty będziesz szczerą.

ZUZANNA.

*(Rozpaczliwie)* Mówię prawdę.

HRABIA.

*(J. w.)* Kiedy dasz mi gałązkę, Zuzanno?

ZUZANNA.

Że pan się nie wstydzi nazywać mego męża  
swym przyjacielem?!

HRABIA.

*(J. w.)* Dasz mi gałązkę prędzej czy później!

ZUZANNA.

Nigdy!

HRABIA.

*(J. w.)* Jak tylko wyjdiesz z tego domu, natychmiast zapragniesz do niego wrócić.

ZUZANNA.

Byłam tu ostatni raz!

HRABIA.

*(J. w.)* Poczekał, aż wrzucisz gałązkę przez  
okno...

ZUZANNA.

Pan hrabia będzie daremnie czekał.

HRABIA.

Pocałunków moich nie zapomina się. Jak tylko wyjdiesz stąd natychmiast zapragniesz wrócić.

ZUZANNA.

*(Trzymając rękę na klamce)* Powiem zaraz wszystko mężowi.

HRABIA.

Jeżeli wrzucisz gałązkę przez okno, nikt tego nie zauważy. A i ty sama, Zuzanno, nie potrzebujesz o tem wiedzieć, żebyś nie musiała się wstydzić. Będzie tak, jakby wiatr zerwał ją z drzewa i zaniósł do tego pokoju.

ZUZANNA.

*(Otwierając drzwi)* Nigdy!

## SCENA VI.

ZUZANNA, HRABIA, PROFESOR.

*(Profesor wchodzi z prawej strony, widzi go hrabia, ale nie Zuzanna)*

HRABIA.

*(Z uśmiechem, tonem swobodnym)* Do widzenia, droga pani Zuzanno!

ZUZANNA.

(*W drzwiach*) Nie chcę już nigdy widzieć się z panem. (*Wychodzi*)

PROFESOR.

Dobrze ci tak!

HRABIA.

(*Z uśmiechem*) Co?

PROFESOR.

(*Biorąc gazetę do ręki*) Pojmuję, jak przykrą musi być rozmowa z tobą, dla uczciwej kobiety.

HRABIA.

(*Przystępuje do profesora i klepie go po ramieniu*) Szanowny profesorze ginekologii, zobaczno czy w książkach twoich znajdzie się wyrażenie »uczciwa kobieta«. — Zdaje mi się, że tam jest tylko mowa o »kobiecie«.

PROFESOR.

Nie lubię, jak mnie ktoś klepie po ramieniu. (*Czyta gazetę, hrabia patrzy przez okno, jakby kogoś czekał; po chwili profesor pyta podejrzliwie*) Zresztą, co chcesz przez to powiedzieć?

HRABIA.

Przez co?

PROFESOR.

Przez twoją sentencję o kobietach. Chyba nie chcesz mi dać do zrozumienia, że i ją udało ci się zbałamucić.

HRABIA.

(*Żywo*) Zuzannę? Ach! co za nonsens! (*Idzie naprzód sceny; patrząc przed siebie wzrokiem błyszczącym, z dawnym uśmiechem*) To jest niemożliwe!

PROFESOR.

(*Tonem złośliwym, profesorskim*) A... ha! To się przecież nie udało jaśnie panu. W tym przypadku pan hrabia jednak się przeliczył. Widziałem to zaraz po twojej minie, drogi braciszku. Jesteś czerwony ze złości.

HRABIA.

Aa, jestem czerwony?

PROFESOR.

Jakbyś wypił dwie butelki szampańskiego wina.

HRABIA.

(*Zamyślony, półgłosem*) Jeszcze nie. Byłoby to naprawdę wino zakazane. (*Z lekkim uśmiechem bojąc się, a zarazem dziwnie rozkoszując*) Wino szatańskie... Wyszukana niegodziwość...

PROFESOR.

(*Sucho*) Na szczęście nie podobasz się jej. To ważna okoliczność. To najpewniejsza dla niej ochrona. — Pomijając jej zasady.

HRABIA.

(*Idąc tam i z powrotem, podniecony*) Ale myślę że gdybym się jej nawet podobał, nie zapomniałbym ani

chwili o tem, kto jest jej mężem. Bądź co bądź...  
byłbym nikczemny, gdybym o tem zapomniał.

PROFESOR.

(*Śmiejąc się krótko*) Ha! ha! Czy kiedykolwiek  
istniały dla ciebie takie względy?

HRABIA.

(*J. w.*) Bądź co bądź... byłaby to niezwykła  
w życiu mojem sytuacja. Dziwna, dotąd nieznaną mi  
przeszkoda.

PROFESOR.

Czego ona chciała właściwie od ciebie?

HRABIA.

Szukała tu swego męża

PROFESOR.

A ty, naturalnie zaraz jak zwierzę drapieżne,  
chciałeś ją...

HRABIA.

(*Przerywając, tonem prawie poważnym*) On. — To  
trudny problem. — Tu chodzi o niego. Wielu innych  
zdeptałem, jakby nic, bez najmniejszej, że tak powiem  
emocyi. Ale on, to wyjątek. Nie należy do tych  
licznych mężów, narzeczonych i tym podobnych prze-  
szkód komunikacyjnych mego życia. On — to on!  
Mój Leporello. Czy ty wiesz, co jemu zawdzięczam?  
Myślisz zapewne, że pomaga mi tylko oszukiwać  
zacznych małżonków w szlafmocy. — Nie, on mi po-  
pomaga oszukiwać — śmierć! Nieraz kiedy już mdleję

ze strachu, on podaje mi rękę i woła: Hop! panie hrabio, proszę śmiało przeskoczyć przez tę wiedźmę z kosą! Taki on! Wierny. Ja sam sobie nie jestem wierniejszy! Broni mnie jak dzień jasny, przed czar-  
nymi upiorami nocy. — A jednak...

PROEESOR.

Jednak i jego zdradziłbyś bez namysłu.

HRABIA.

Nie... Byłaby to zbrodnia przeciw naturze... Jes-  
zcze nie... Któż byłby w stanie to uczynić? któż —  
(*półgłosem*) prócz mnie?

PROFESOR.

(*Z oburzeniem*) Ach — więc przyznajesz, że  
mógłbyś... mógłbyś... ty, coś ty za jeden, he?

HRABIA.

Ja? Sam nie wiem. Sobie nie umiem odpowie-  
dzieć tak, jak nieraz odpowiadam kobietom. Wiem, że  
kobieta jest tem, co ja kocham. Jest celem mojej go-  
rączki, ofiarą mego pragnienia. Ale czem jestem ja?  
Co jest pragnienie moje? Nie wiem.

*Mała pauza.*

PROFESOR.

(*Z westchnieniem*) Że też pozwalają jeszcze ta-  
kim indywiduom jak ty, chodzić bezkarnie po świecie.

HRABIA.

(*Chodząc*) To mnie także dziwi. Jeśli się uwzględ-  
dni dzisiejsze stosunki. — Jeśli się uwzględni, jak

szalenie dziś przeceniają praktyczność i pracę... O ile sobie przypominam, miałem raz lepsze czasy.

PROFESOR.

Boże, tylko już nie sobie nie przypominaj!

HRABIA.

O ja nie tęsknię za tem co było... Dzisiaj także jestem szczęśliwy. Bo i dzisiaj są kobiety. Chociaż i na nich znać już wpływ tych czasów, w których nikt nie ma czasu. Rendez-vous nie jest już dla nich tak święte jak dawniej... (*patrzy przez okno*)

PROFESOR.

(*Podejrzliwie*) Zauważyłem, że ciągle patrzysz przez okno. Czy może na kogoś czekasz?

HRABIA.

(*Śmiejąc się*) O, nie gdzieżby! (*idzie od okna*)

## SCENA V.

HRABIA, PROFESOR, SEKRETARZ.

*Wchodzi z lewej strony, pogodnie uśmiechnięty, kłania się.*

SEKRETARZ.

Sługa najniższy!

(*Hrabia chodzi zamyślony, kiwnął na powitanie sekretarza głową*)

PROFESOR.

Dzień dobry! Pan znowu jest tutaj?

SEKRETARZ.

Byłem w domu, ale nie zastałem żony. Dzień tak piękny, więc zapewne poszła na spacer do lasu.

PROFESOR.

Cóż, czy znowu nie można wytrzymać z gorąca? Poszedłbym do ogrodu, ale...

SEKRETARZ.

O, w ogrodzie jest o tej porze bardzo przyjemnie. Pozwalam sobie zwrócić uwagę pana profesora na ławeczkę przy wodotrysku.

PROFESOR.

No, zobaczymy. (*Wychodzi przez drzwi środkowe*)

## SCENA VI.

HRABIA, SEKRETARZ.

(*Sekretarz wieszka kapelusz i stawia laskę w kącie, po-  
czem chce zasiąść przy biurku*)

HRABIA.

(*Chodząc po pokoju*) Więc pan nie zastał w domu żony?

SEKRETARZ.

(*Trochę zdziwiony*) Nie, panie hrabio.

HRABIA.

(*J. w.*) Chciałbym panu coś zaproponować. Niech mnie pan nie tytułuje »panem hrabią«. — Mówmy sobie całkiem poprostu »ty«!



SEKRETARZ.

*(Wzruszony. Co?)*

HRABIA.

*(Stojąc; szybko nie patrząc na sekretarza)* Ależ naturalnie! *(podaje rękę sekretarzowi)* Poprostu »ty«

SEKRETARZ.

*(Rumieniąc się i śmiejąc z radości)* Ha — ha, *(ściska gwałtownie dłoń hrabiego)* Dziękuję! dziękuję! — Jestto naprawdę zaszczyt.

HRABIA.

*(Przerywając)* Co tam zaszczyt! Wstydzę się, że jakoś wcześniej o tem nie pomyślałem.

*(Mała pauza; hrabia chodzi dalej po pokoju; sekretarz siada przy biurku i przegląda papiery, ale uśmiecha się ciągle i wogóle nie może się uspokoić z zadowolenia)*

SEKRETARZ.

Nie, to wyborne!

HRABIA.

Co takiego?

SEKRETARZ.

Nic. Śmieję się tylko z tego, że pan profesor boi się gorąca. Pytał się czy można wytrzymać w ogrodzie!...

HRABIA.

*(Stojąc znowu przy oknie)* Wiatr wieje. — Drzewa

zaczynają szumieć. Ale akacya ledwie się rusza. Nie opadają z niej żadne kwiaty. (*Znowu chodzi*)

SEKRETABZ.

Ha, ha, ha! To doskonale!

HRABIA.

Znowu! Niby co?

SEKRETARZ.

Nic, śmieję się tylko z Hani, bo naprawdę zakochała się w... tobie i powtarza ciągle słowa, które do niej wczoraj powiedziałeś.

HRABIA.

(*Roztargniony*) Rzeczywiście, Hania?

SEKRETARZ.

Siedzi teraz ciągle tam w kurytarzu (*na lewo*) i czeka na ciebie jak piesek. Czeka cierpliwie, aż ją zawołasz.

HRABIA.

(*Znowu przy oknie*) W tej chwili spadł jeden kwiat. Tylko jeden. I niestety nie do pokoju. (*Sekretarz śmieje się. Hrabia niecierpliwie*) Cóż znowu?

SEKRETARZ.

Nic. Śmieję się, że ty mówisz do mnie »ty«

HRABIA.

Cóż u dyabła, co za humor nadzwyczajny. Co to znaczy? Może znajdę na to odpowiedź w księdze moich doświadczeń. — »Co to znaczy, jak małżonek ma dobry humor?

SEKRETARZ.

(*Zdziwiony*) Dlaczego nazywasz mię nagle małżonkiem?

HRABIA.

Bo, widzisz myślę dziś dużo o małżeństwie. Zdaje mi się, że to może przecież... w niektórych przypadkach — jedyne wyjście! Bo są może przecież niewiasty, których nie można inaczej posiadać tylko w sposób legalny.

SEKRETARZ.

(*Wesoło*) Ach, Boże — ty i bez tego możesz mieć wszystkie bez wyjątku.

HRABIA.

Myślisz? (*Patrząc przez okno*) Ach teraz, idzie! idzie!

SEKRETARZ.

Kto?

HRABIA.

(*Nagle rozczarowany*) O... niestety nie ta, na którą czekam.

SEKRETARZ.

Na kogo czekasz?

HRABIA.

Niestety, nie na tą, która właśnie idzie. (*Niespokojnie*) Zlituj się! tej osoby absolutnie przyjąć nie mogę. Z nią nie mógłbym nawet mówić!

SEKRETARZ.

*(Zrywając się)* Któż to jest?

HRABIA.

*(Rozpaczliwie)* Kto? »Kasztelanka!« Wyobraź sobie — Krystyna! Idźże prędko, na miłość Boską! Powiedz, że mnie niema! Staraj się, żeby wcale nie weszła do pokoju!

SEKRETARZ.

*(Idąc)* Prawda, jej czas już minął. *(Wychodzi na lewo)*

HRABIA.

*(Z gestem charakterystycznym)* Mi-nał! *(Idzie na przód sceny, na lewo i jak chłopak, który boi się kary — siada skulony na sofce w kącie, z tyłu zakryty schodami).*  
*(Mała pauza; słychać burzliwą rozmowę za sceną. Hrabia ogląda się ostrożnie, a potem znówu się chowa).*

## SCENA VII.

HRABIA, SEKRETARZ, KRYSTYNA.

KRYSTYNA.

*(Wpada nagle z lewej strony, silnie wzburzona idzie na przód i mówi błagalnym tonem do sekretarza, który zakłopotany idzie za nią, starając się napróżno ją wstrzymać)*

Niech mnie pan puści do niego! Gdzie on jest? Przyjąłby mnie z pewnością, gdyby wiedział, że to ja! Czy pan mnie nie zna? Jestem z sąsiedniego dworu.

SEKRETARZ.

(*Bezradnie*) Wiem, wiem, ale to na nic. Najmocniej przepraszam, ale gdyby nawet pan hrabia był w domu..

KRYSTYNA.

(*Idąc naprzód*) Dla mnie z pewnością jest w domu!

HRABIA.

(*Wstaje z konieczności, bo Krystyna zbliżyła się ku sofie, uprzejmie*) O! naturalnie!

KRYSTYNA.

(*Tryumfująco do sekretarza*) Widzi pan! (*Podaje hrabiemu obie ręce*)

HRABIA.

(*Biorąc jedną rękę i całując ją dość konwencyjonalnie*) A jednak sekretarz mój miał o tyle rację, że w istocie czeka mnie pilny interes gospodarski, który niestety...

KRYSTYNA.

(*Prosząc*) Ale przecież darujesz mi... daruje mi hrabia małą chwilkę, choćby tylko minutę.

HRABIA.

(*Uprzejmie, gładko*) Minutę? Owszem. Jedną minutę — bardzo chętnie. (*Do sekretarza*) Ale przyjdź potem tu, mój drogi, żebym się broń Boże, nie spóźnił.

(*Sekretarz wychodzi na prawo*)

## SCENA VIII.

HRABIA, KRYSZYNA.

HRABIA.

*(Grzecznie)* Bądź łaskawa usiąść.

KRYSZYNA.

*(Trochę gorzko — ironicznie)* Dziękuję!

HRABIA.

*(Ciągłe tym samym bezwzględnie uprzejmym tonem)*  
Bardzo mi jest miło widzieć się z tobą. *(Wskazuje na fotel)* Proszę!

KRYSZYNA.

*(Siada powoli patrząc na hrabiego z przerażonym uśmiechem)* Nie wiem czy wtedy mi się śniło... czy śni mi się teraz. — Nic nie wiem... Oczy twoje są szklane. Niema na nich nic prócz uprzejmości. Prócz okrutnej zimnej uprzejmości. A ja... ja żyję tylko myślą o tobie. Przyszłam do ciebie z mnóstwem pytań gorących. Ale nawet jednego nie śmiem... wypowiedzieć głośno — tak uprzejmie na mnie patrzysz.

HRABIA.

Pytaj śmiało moja droga.

KRYSZYNA.

*(J. w.)* Do sekretarza mówileś »mój drogi« i do mnie mówisz »moja droga«. — Zlituj się! *(Nie z wybuchem rozpaczy, ale raczej z bolesnym zdumieniem)* Zli-

tuj się! (*Schyła się nagle i całuje go w rękę, którą hrabia cofa*) Chciałabym się spytać... (*Milknie ze wzruszenia*)

HRABIA.

Pytaj Krystyno.

KRYSTYNA.

Czy mam... napisać do narzeczonego... list pożegnalny?

HRABIA.

(*Łagodnie zdziwiony*) Pożegnalny? Czy już nie chcesz go widzieć? Czy może słyszałaś o nim coś złego?

KRYSTYNA.

(*Cicho*) Zlituj się!

HRABIA.

Masz zapewne jakieś ważne powody, że nie chcesz wyjść za niego. Jestto podobno młodzieniec majątny i z dobrej rodziny. Ale nie chciałbym, rozumie się, żadną miarą, wpływać na twoją decyzję.

KRYSTYNA.

(*Bezdzwięcznie*) Powiedz — chcesz mnie czy nie? Jestem dla ciebie, czy już nie jestem? Czy ta noc była naprawdę, czy tylko w mej wyobraźni?

HRABIA.

(*Całując z galanterią w rękę*) O, to była jedna z najpiękniejszych nocy mego życia.

KRYSTYNA.

(*Walcząc z płaczem*) Odpowiedz... odpowiedz czy...  
(*Nie może mówić*)

HRABIA.

Proszę, pytaj Krystyno.

KRYSTYNA.

Czy nie jestem godną być twoją żoną?

HRABIA.

(*Z uśmiechem*) Moją żoną? Kochana Krystyno, żona jest zawsze godna. Ale widzisz, ja niestety nie mogę mieć żony. Twój piękny projekt jest nie wykonalny. Bo ja jestem beznadziejnie szczery. To mój błąd wieczny. Kto jest tak szczery, ten nie może mieć jednej żony na całe życie. Ta żona byłaby najnieszczęśliwszem stworzeniem w świecie.

KRYSTYNA.

(*Rozpaczliwie*) Chcę być najnieszczęśliwszem stworzeniem w świecie.

HRABIA.

(*Trzeźwo*) Zdaje mi się, że nie zgadzałoby się to z rodzajem twej urody. Nieszczęście zniszczyłoby zupełnie harmonię rysów twoich.

## SCENA IX.

HRABIA, KRYSTYNA, SEKRETARZ.

SEKRETARZ.

Czas już, czas!



KRYSTYNA.

(*J. w.*) Chcę być sługą twoją!

HRABIA.

(*J. w.*) I to jest niemożliwe — ze względu na twój szlachetny profil. (*Uprzejmie*) Zresztą jak słyszysz niestety mnie wołają.

KRYSTYNA.

(*Wstaje, ocierając oczy, bezdźwięcznie*) Ale nie widzimy się chyba po raz ostatni?

HRABIA.

O — w każdym razie do pani napiszę.

KRYSTYNA.

Proszę. —

HRABIA.

(*Odprawdzając ją do drzwi*) Z pewnością.

(*Wychodzi z nią na lewo*)

## SCENA X.

HRABIA, SEKRETARZ.

HRABIA.

(*Wraca po chwili, wyczerpany siada na fotelu*)  
Ach...

SEKRETARZ.

Co do niej napiszesz?

HRABIA.

Prawdę. Rozumie się. Bo nie zniósłbym drugi raz jej odwiedzin. Wolę ciosać kamienie, niż mówić z kobietą, która przestała być dla mnie kobietą. (*wzdycha*) Czy wiesz — ona chce zostać moją żoną.

SEKRETARZ.

Ha — ha. Co za fantazyja! Dlaczego nie chce zostać żoną wiatru, co pędzi po świecie? Także dobra partya. Albo księżycy? Albo... ha... ha... ha... krążyłaby sobie wiecznie w koło, w koło...

HRABIA.

Bądź co bądź nie mów o tej kwestyi tak żartobliwie Brysiu.

SEKRETARZ.

(*Zdziwiony, prawie ze strachem*) Brysiu?... Aty skąd wiesz, że...

HRABIA.

(*Prędko, wesoło*) Ach, dowiedziałem się od kogoś, że cię tak nazywa żona.

SEKRETARZ.

(*Uspokojony*) Pewnie od profesora. (*trochę kwaśno*) Ale ty mnie tak nie nazywaj. (*weselej*) Dlaczego nie mam mówić o tej kwestyi żartobliwie?

HRABIA.

Bo widzisz, to jest właściwie smutne, że ja nie mogę się żenić. Ja za tem właściwie tęsknię.

SEKRETARZ.

(*Z uśmiechem*) Człowiek tęskni najwięcej za tem do czego nie jest stworzony.

HRABIA.

Właśnie. Ty mnie rozumiesz. Tęsknię od wieków za życiem familijnym, spokojnym, burżuazyjnym — tak, jak tęskni za tem beznadziejnie wszelka hołota, bandyci, złodzieje — poeci liryczni etc.

SEKRETARZ.

Wszystko mogę sobie wyobrazić tylko nie ciebie, jako męża.

HRABIA.

(*Tonem marzącym*) Żona moja, miałyby jasne włosy, ciemnoniebieskie oczy...

SEKRETARZ.

(*Jeszcze z uśmiechem*) Ciemnoniebieskie.

HRABIA.

Twarz całkiem białą, bardzo białą... i tylko pod prawem okiem czarny punkcik.

SEKRETARZ.

(*Podejrzliwie*) Słuchaj — no...

HRABIA.

I byłaby zawsze w jasnej sukni — powiedzmy tego koloru, jak akacya. A w ręce...

SEKRETARZ.

Ależ ty opisujesz moją żonę!

HRABIA.

*(Spokojnie z uśmiechem)* Być może, bo wzięłem się w tej chwili niejako w twoją rolę. Ty byłeś i będziesz dla mnie zawsze typowym mężem.

SEKRETARZ.

*(Trochę uspokojony, ale niezbyt szczerze się śmiejąc)*  
Wolne żarty!

HRABIA.

*(Tym samym tonem marzącym jak przedtem)*  
A w ręce trzymalaby gałązkę — białą — kwitnącą, pachnącą...

SEKRETARZ.

*(Śmieje się już naturalniej)* Nie, to nie ma sensu, ta gałązka to już — nie gniewaj się — pomysł waryacki.

HRABIA.

*(Z uśmiechem)* Tak... waryacki.

SEKRETARZ.

*(Śmiejąc się głośno i swobodnie)* Zresztą byłbym naprawdę bardzo ciekawy twych oświadczeń. Czy też zdołałbyś wyrazić swe uczucia, jak młodzieniec skromny, z porządnego domu. Poprosić pannę o rączkę a nie uwieść jej zarazem przy tej sposobności.

HRABIA.

*(Tym samym lekkim tonem)* Dlaczego nie? Ale musiałbym w tej chwili uroczej kochać się w innej kobiecie. Wtedy oświadczyły moje, wypadłyby z pewno-

ścią nadzwyczajnie. (*W tej chwili idzie w tyle Hania z lewej strony w prawą.*)

## SCENA XI.

HRABIA, SEKRETARZ, HANIA.

SEKRETARZ.

Ot widzisz, idzie Hania, mógłbyś zaraz pokazać czy umiesz się oświadczyć.

HRABIA.

Doskonale! (*woła*) Haniu! (*Hania zbliża się do hrabiego*) Mała, daj mi rączkę — (*Hania podaje rękę*) tak. I drugą. (*Hania podaje, spuszczaając wstydliwie oczy*) A teraz popatrz mi w oczy. (*Hania słucha*)

SEKRETARZ.

(*Który siedzi w fotelu i z uśmiechem przypatruje się*) Ach to jeszcze dziecko.

HRABIA.

O już nie, bo zbladła. (*do Hani*) Dlaczego jesteś taka blada? Czy kochasz mnie?

SEKRETARZ.

To było za gorąco. Tak, nikt się nie oświadcza w porządnym domu.

HRABIA.

(*Nie tak ogniście jak przedtem, delikatniej*) Powiedz,

dłaczego siedzisz cały dzień jak piesek przed drzwiami mego pokoju i czekasz? Czy dlatego, że mnie kochasz?

HANIA.

*(Drżącym głosem)* Tak.

HRABIA.

*(Z radością udaną, niezbyt głośno)* Tak?

SEKRETARZ.

To było lepiej.

HRABIA.

A czy nie chciałabyś Haniu, sprowadzić się do mnie zamiast siedzieć pod drzwiami? Czy nie chciałabyś zawsze ze mną mieszkać, zostać moją żoną?

HANIA.

*(J. w.)* Tak.

*(W tej chwili wlatuje biała gałazka Zuzanny przez okno do pokoju)*

HRABIA.

*(Widząc gałazkę z uciechą ogromną i szczerą)* Tak? *(podnosi gałazkę, przyciska ją do ust; głośno z radosnym okrzykiem)* Ach! Jakże jestem szczęśliwy!

*Kurtyna.*

## AKT III.

Te same dekoracje, jak w drugim akcie. Przedpołudniem; przy końcu sztuki jest właśnie dwunasta. Z początku słońce świeci jasno, potem ściemnia się, przychodzi burza, która trwa bardzo krótko, a w końcu jest znowu pięknie i jasno. Okna i drzwi otwarte na oścież; widać drzewa, klomby i trawniki parku.

### SCENA I.

PROFESOR, HRABIA.

*Profesor siedzi przy drzwiach otwartych, po prawej stronie: twarz jego zwrócona jest na pół do ogrodu. Hrabia stoi oparty po lewej stronie drzwi. Dalszy ciąg rozmowy rozpoczętej niby przed podniesieniem kurtyny.*

PROFESOR.

*(Słuchając uważnie; pochylony cokolwiek naprzód)*  
Która była godzina, kiedy opuściliście dom sekretarza?

HRABIA.

Zdaje mi się, że pół do dwunastej.

PROFESOR.

Co za lekkomyślność. Mógł lada chwila wrócić do domu — i zastać was dwoje razem.

HRABIA.

Wiedziałem dobrze, że to nie możliwe. Przecież siedzi tu zawsze do późna.

PROFESOR.

Pocziwa dusza. Śleczął tej nocy jak zwykle nad rachunkami i księgami. Koło jedenastej wszedłem wypadkiem do tego pokoju, no i gawędziliśmy trochę. Był w nadzwyczajnym humorze, zwierzał się, opowiadał o swych stosunkach prywatnych — a przytem co drugie słowo: Zuzanna, Zuzanna. (*z oburzeniem*) Popęlniłeś zbrodnię o pomstę do nieba wołającą.

HRABIA.

(*Niezbyt szczerze*) Jakoś tego nie czuję.

PROFESOR.

Czujesz, mój drogi. Jesteś przygnębiony. Robisz sobie niezawodnie sam gorzkie wyrzuty.

HRABIA.

Dlaczego? Przecież ona jest śliczna. Jak miłość. Robię sobie tylko dlatego wyrzuty, że nie poznałem jej wcześniej. Z nią mógłbym być dłużej szczęśliwy, niż z każdą inną kobietą.

PROFESOR.

Tak ci się zdaje. Zresztą... o niej nie chcę mówić. Rozczarowała mnie strasznie pod względem <sup>duchowym</sup> moralnym

HRABIA.

A mnie wcale nie pod względem estetycznym



PROFESOR.

Ale on, on! Robi mi się zimno na myśl o wczorajszej sytuacji. Pracował tu spokojnie... ale mogło mu strzelić do głowy, że tam żona tęskni, że trzeba jej zrobić niespodziankę, i wrócić wcześniej do domu.

HRABIA.

To nie mogło mu strzelić do głowy. Znam go. Nie ruszy się z tąd nigdy, dopóki ja nie wrócę. Czeka niecierpliwie mego opowiadania, o nowych przygodach miłosnych. Czeka nieraz do rana — tak namiętnie lubi słuchać. O, ja nie mam wdzięczniejszego i lepszego słuchacza. Nikt nie interesuje się tak moim życiem, jak on. — Nikt. — Serce wrażliwe. W dodatku przyjaciół. — Perła!

PROFESOR.

A gdyby był tej nocy przecież zepsuł wam przyjemność — ?

HRABIA.

*(Prostu)* To byłbym go zabił.

PROFESOR.

*(Z dreszczem)* Bagatela.

HRABIA.

On umie słuchać — a ty nie kochany bracie. Kiedy jemu coś opowiadam, wpadam w taki zapał, że chciałbym zaraz na nowo grzeszyć! Twoje słuchanie tylko mnie zniechęca. Im dłużej do ciebie mówię,

tem mi smutniej w duszy. — Czy to dlatego, że jesteś stary — czy, że jesteś profesorem...?

PROFESOR.

(*Obrażony*) Przecież wcale ciebie nie prosiłem, żebyś mi opowiadał o swych brudnych sprawkach. Ale nie mogłeś wytrzymać. — Bo sumienie cię gryzie.

HRABIA.

Wyrażaj się po lekarsku! Co to »sumienie gryzie«?

PROFESOR.

A więc napij się koniaku jeśli czujesz depresję.

HRABIA.

To było po lekarsku. Ale koniak mi nie pomoże. Na ten dreszcz zimny, który napada mię niekiedy w życiu, jest tylko jeden środek. Rozmowa z moim Leporellem. Ach jakże mi go brak, w tej chwili! Gdzie on? Dlaczego się spóźnia? Do stu piorunów — przecież muszę z nim mówić!

PROFESOR.

(*Z pewnym strachem*) O czym? Chyba nie o jego żonie?

HRABIA.

(*Z uśmiechem*) On jest idealnym słuchaczem.

PROFESOR.

(*Prawie z rozpaczą*) Co więc chcesz?... chcesz? Czy zwaryowałeś do reszty?

HRABIA.

Uspokój się. Rozumie się, że mu nic nie powiem. — Nie mogę. Ale przyznaję, że chciałbym ogromnie — ogromnie. — Jestem nagle całkiem sam! Jakbym leżał w trumnie. Boję się! W takich chwilach strachu — on mnie zawsze ratuje.

PROFESOR.

Aha wiem... hop, panie hrabio!... hop przez tę wiedźmę z kosą!

HRABIA.

Właśnie. Ale rozumie się, że w tym przypadku..

PROFESOR.

(*Sucho ironicznie*) Nie, w tym przypadku nie możesz żądać od niego pociechy. (*surowo*) Dobrze ci tak. Dlaczego nie pomyślałeś wczoraj o możliwych następstwach twego czynu?

HRABIA.

(*Znowu z uśmiechem*) Wczoraj — ach, to wczoraj! Szkoda, że minęło! Ale dałbym cały majątek, żeby ujrzeć Zuzannę dzisiaj! Ciekaw jestem jak dzisiaj wygląda? — Bo ona jest zawsze inna. Co dnia co go-dziny. Teraz dopiero pojmuję wierność małżeńską Leporella. Ona kwitnie w coraz to innych barwach. I tak Leporello zdradza ją bezustannie z nią samą. Na tem polega jego wierność.

PROFESOR.

Mówisz o niej, jakbyś ją znał od stworzenia świata.

HRABIA.

Dlaczegoż nie znam jej od stworzenia świata? Ileż wieków szczęścia przez to straciłem!

PROFESOR.

Biedny sekretarz wiedział dobrze, dlaczego ją przed tobą ukrywał.

HRABIA.

Oszukał mię hultaj. Kto wie, czy nie poznałem ją za późno. Ile razy spotkam w życiu taką kobietę, drzę ze strachu, że mógłbym umrzeć, zanim ją dostanę. — Zresztą wątpię czy znowu ją zobaczę. Może w tej chwili odzyskała swą dawną moralność, kocha na nowo męża, a pogardza mną, jako swym jedynym grzechem.

PROFESOR.

(*Patrząc na zegarek*) Sekretarz powinien nadejść lada chwila.

HRABIA.

Niech przyjdzie, albo nie przyjdzie. Już mi nic na nim nie zależy! Jeśli nie mogę mówić z nim tak otwarcie, jak dotychczas...

PROFESOR.

(*Wstając energicznie*) Nie! Pod żadnym warunkiem.

HRABIA.

Przecież mówię ci sam, że nie mogę. Więc czego chcesz? *(Po małej pauzie)* Dlaczego tak na mnie patrzysz jakbyś chciał odgadnąć wszystko, co się we mnie dzieje. Czegóż możesz dowiedzieć się o mnie? Nie. Choć jesteś wielkim lekarzem. Nic o mnie nie wiesz i nic się nie dowiesz. Bo dusza twoja nie widzi; nie słyszy! Co najwyżej możesz mnie wiaść za puls i orzec: »ten człowiek ma gorączkę« — albo gdybym nagle upadł na ziemię, mógłbyś położyć mi rękę na sercu i stwierdzić: »on nie żyje«. — Ale nawet mógłbyś się pomylić. Co? Nie myślisz braciszku? Ha, ha, ze mną nie łatwa sprawa. *(Patrzy chwilę na profesora, potem śmieje się serdecznie)*

PROFESOR.

*(Zły)* Na razie stwierdzam, że minęła już twoja melancholia.

HRABIA.

O nie. Zbliża się południe, widzę dokoła światło ale — sam jestem w cieniu. Sam od rana drzę z zimna. I choć wiem doskonale, że ten cień prędzej czy później minie — chociaż wiem, że żadna siła zniszczyć mnie nie może...

PROFESOR.

Zazdroszczę ci tej pewności.

HRABIA.

Choć sobie mówię, że różnie bywało, różnie

jeszcze będzie w nieskończenie długim życiu mo-  
jem — dzisiaj miłość, jutro śmierć — albo i przeciwnie...

PROFESOR.

Przeciwnie?

HRABIA.

Dlaczego nie? To jednak, co mi z tego, że wiem?!  
Chodzi o to, co w tej chwili czuję. — Zawsze o to  
chodzi. Ach ciepłe usta Zuzanny pocieszyłyby mnie  
natychmiast. Wiedza nie wystarcza mi, tak jak wam  
profesorom.

*(Hania nadchodzi z kurytarza po prawej stronie, patrzy  
z uśmiechem zakłopotanym na hrabiego i daje świeże  
kwiaty do wazy)*

Wy żywicie się prawdą, tak jak króliki sałatą.

## SCENA II.

PROFESOR, HRABIA, HANIA.

PROFESOR.

*(Zły)* Proszę, mnie daj spokój!

HRABIA.

Albo jak Hania gruszkami i piernikami. —  
Prawda Haniu?

HANIA.

Będzie burza.

PROFESOR.

Od samego rana mówisz mi impertynencye.

HRABIA.

Będzie burza? Ach, teraz rozumiem dlaczego jestem tak dziwnie smutny.

PROFESOR.

(*J. w.*) Drwisz sobie z nauki, ale kiedyś zobaczysz, że to jedyny cel w życiu godny człowieka. Kiedyś zobaczysz, że lekkomyślnie zmarnowałeś młodość.

HANIA.

Żeby tylko piorun nie uderzył w pałac. Tam są takie czarne chmury.

HRABIA.

Pewnie dlatego jestem smutny!

HANIA.

Pan się także boi?

HRABIA.

Właśnie.

PROFESOR.

(*Oburzony*) Nie strasz dzieci. (*Do Hani*) Na domie jest konduktor — rozumiesz?

HRABIA.

(*Ironicznie — do Hani*) Jak możesz bać się burzy, ciemna istoto, kiedy jest konduktor?!  
(*Profesor patrzy podejrzliwie na hrabiego i bardzo zły wychodzi przez pierwsze drzwi na lewo.*)

SCENA III.

HRABIA, HANIA.

HANIA.

Ale pan powiedział przedtem że pan się boi.

HRABIA.

Żartowałem. — Tobie nic się nie stanie. — Zobaczysz.

HANIA.

Ale pan tak jakoś się patrzy — sama nie wiem. Pan chyba już wszystko zapomniał.

HRABIA.

Co?

HANIA.

...Że — pan chce się ze mną ożenić.

HRABIA.

*(Przypominając sobie z uśmiechem)* Ach, prawda — prawda.

HANIA.

*(Podejrzliwie)* Ale pan już się z tego nie cieszy.

HRABIA.

Owszem — naturalnie.

HANIA.

Ale nie tak jak wczoraj.

HRABIA.

*(Z coraz większym roztargnieniem)* Tak samo. —



Całkiem tak. — Ogromnie. (*Patrzy przed siebie martwym wzrokiem*)

HANIA.

(*Głośno, dziecinnie; z nagłym instynktowym lękiem*)

Nie! nie!

HRABIA.

(*Drgnął nerwowo*) Cicho!

HANIA.

(*Płaczliwie*) Ach, Boże.

HRABIA.

(*Znowu z uśmiechem; dobrotliwie, łagodnie*) Cóż to znaczy, Haniu? Czy będziesz taką samą, jak zostaniesz moją żoną? Będziesz także krzyczeć i płakać?

HANIA.

Bo pan był wczoraj inny. — Bo pan jest smutny.

HRABIA.

(*Takim tonem jak się poucza dziecko, a jednak nieświadomie prosząc dla siebie o pociechę*) Tego się nie mówi Haniu. Pamiętaj! Jeśli chcesz być dorosłą kobietą — musisz zachowywać się inaczej. Jak kobieta widzi, że ktoś jest smutny, to nie mówi mu nigdy »jesteś smutny«. Tak głupio postępuje tylko mężczyzna. Kobieta udaje, że wcale nie widzi smutku i jest weselsza, miłsza, piękniejsza, niż zwykle. — Wtedy smutek znika. — Rozumiesz?

HANIA.

(*Półgłosem; przygnębiona*) Rozumiem, ale...

HRABIA.

Co ale?

HANIA.

Pan... jest dzisiaj całkiem inny jak wczoraj.

HRABIA.

Aha.

HANIA.

Pan się patrzy tak strasznie, tak, jakby pan był zimny jak lód.

HRABIA.

*(Ze strachem, półgłosem)* Co?

HANIA.

*(Cicho)* Tak... Pan jest całkiem inny.

*(Pauza)*

HRABIA.

*(Smutno ale tak, jak się mówi do dziecka)* Więc już nie chcesz wyjść za mnie. Opuścisz mnie?

HANIA.

*(Z pewnem wahaniem)* Teraz muszę już przy panu zostać.

HRABIA.

*(Żartobliwie, a jednak z wewnętrznym wzruszeniem)* Musisz? Dlaczego?

HANIA.

Bo przecież... jesteśmy już po słowie.

HRABIA.

A jednak wcale nie musisz, jeśli ci się nie podobam.

HANIA.

(*J. w.*) Pan był wczoraj taki jasny. Oczy pana tak wczoraj błyszczały.

HRABIA.

Wczoraj — no tak. (*Głośno, niby wesóło*) To, co było wczoraj, nie liczy się! Nigdy się nie liczy. Jeśli uważasz, że jestem inny i już mnie nie chcesz, to i ja ciebie nie chcę. Pogardzam małżeństwem bez miłości.

#### SCENA IV.

HRABIA, HANIA, SEKRETARZ.

(*Sekretarz wchodzi przez drzwi środkowe kłania się hrabiemu z pogodnym uśmiechem.*)

HRABIA.

(*Patrzy najpierw na sekretarza z największym przerażeniem, ale natychmiast udaje mu się zapanować nad sobą; mówi — mimo wewnętrznego niepokoju — tonem lekkim, swobodnym*)

Dlaczegoż tak późno? Co?

SEKRETARZ.

Nadchodzi burza. (*Odpowiadając dopiero teraz*)

Ach tak, spóźniłem się cokolwiek. — Bardzo przepraszam, ale czekałem w domu aż...

HRABIA.

*(Przerywając)* Gdybyś był przyszedł cokolwiek wcześniej, ja nie byłbym dostał kosza. Pierwszego w mojem życiu.

SEKRETARZ.

*(Z uśmiechem sceptycznym)* Ty... kosza? Niepodobna? *(Wskazując na Hanię)* Od niej? *(Hrabia kiwa głową)* Przecież wczoraj przyjęła laskawie twoje oświadczenia.

HRABIA.

Tak, ale nagle zaszła zmiana w jej uczuciach. Teraz chce wyjść za mnie z uczciwości. — Tylko dlatego, że dała słowo. *(Z komiczną powagą)* Ale ja nie chcę tej ofiary. — Nie chcę! Wolność przede wszystkim.

*(Sekretarz śmieje się. Hania, która stoi podczas tej rozmowy spoglądała z zakłopotaniem i strachem raz na hrabiego, raz na sekretarza, nagle ucieka. Hrabia i sekretarz śmieją się).*

## SCENA V.

HRABIA, SEKRETARZ.

HRABIA.

*(Tonem zmienionym)* Ale to jednak mimo wszystko przykre.

SEKRETARZ.

(*Z uśmiechem wznosząc ramionami*) Daj spokój przecież to dziecko.

HRABIA.

Tem gorzej. — Kosz od dziecka jest najszczęśliwy.

(*Mała pauza*)

SEKRETARZ.

(*Który przystąpił do biurka nie siada*) Czekałem w domu, aż zbudzi się żona. Zresztą napróżno.

HRABIA.

(*W pierwszej chwili mimowoli spogląda na sekretarza, ale potem zaraz znowu szybko się odwraca*) A — czy żona twoja zawsze śpi tak długo?

SEKRETARZ.

(*Trochę zmieszany, tak jak zawsze ile razy jest mowa o jego żonie*) Nie, naturalnie, że nie zawsze. (*Chrząka*) Wczoraj — a raczej już dziś — wróciłem później niż zwykle do domu. — Ty wiesz.

HRABIA.

(*Cicho*) Aha — no i twoja żona już spała?

SEKRETARZ.

Tak. — Naturalnie — było już późno. Nie odpowiadała już na żadne pytanie. (*Z westchnieniem*) I tak nie mówiłem już z nią dwadzieścia cztery godziny, a to usposabia mnie trochę dziwnie.

HRABIA.

Aha! Twoja nostalgia.

SEKRETARZ.

Właśnie. (*Porządkuje papiery na biurku*) Za to jeśli pozwolisz, odejdę dziś trochę wcześniej. (*Hrabia milczy; sekretarz znalazł między papierami sztylet Krystyny*) A tu leży jeszcze ten piękny anachronizm. Sztylet, którym chciała cię panna Krystyna... (*Hrabia rusza się nerwowo*) O, pardon! Już milczę. Rozumiem, że nie lubisz o tem mówić. Co minęło, to minęło. (*Po małej pauzie dyskretnie, chytrze*) Tem bardziej, że zanoszą się na coś nowego. (*Z uśmiechem*) Hoho, znam ja pana hrabiego. U ciebie przerwy nie istnieją. — Pociąg pędzi dalej, aż do następnej stacyi. Tak, tak. (*Ostrożnie*) No, i jakaż jest ta nowa miłość? Interesująca?

HRABIA.

(*Od pierwszej chwili silnie zajęty tematem o »nowej miłości« z czysto pozorną obojętnością*) O! Boże — dla mnie miłość jest zawsze interesująca. (*Chodzi tam i sam; sekretarz spogląda na niego badawczo ukradkiem, potem nagle staje; widać, że milczenie sprawia mu mękę*) Zresztą nie da się zaprzeczyć, że tym razem — (*Podniecony*) O, to kobieta niezwykła.

SEKRETARZ.

(*Z niejako głodnym uśmiechem; panując z trudem nad swą ciekawością*) Naturalnie. — Ty nie znasz wogóle zwykłych.

HRABIA.

Może być. — Ile razy wejdzie kobieta w moje życie, mam zawsze uczucie czegoś absolutnie nowego, niesłychanego. Ale tym razem — wyobraź sobie. (*Przeżony sam własną gadalliwością*) Nie — wierz mi — o tem mówić nie mogę.

SEKRETARZ.

(*J. w. wstaje z ciekawości przykłada rękę do ucha i powtarza tonem dziwnie naiwnym, chciwym, jak dziecko, które chce nowej bajki*) Proszę opowiadać — opowiadać.

HRABIA.

(*Prawie wściekły ze wzruszenia*) Nie mogę. (*Tonem spokojniejszym*) A zresztą mój kochany braciszek obrzydził mi dziś rano gruntownie wszelkie konfidencye. Temu człowiekowi — już nigdy nic nie powiem, nigdy w życiu. Wolę mówić do szafy.

SEKRETARZ.

(*Z wyrzutem*) A widzisz, profesorowi to opowiadałeś.

HRABIA.

(*Zakłopotany*) Nie o tem.

SEKRETARZ.

Ależ tak — dość na ciebie spojrzeć. Ty nie umiesz klamać, udawać.

HRABIA.

(*Rozpaczliwie*) Niestety, Niestety!

SEKRETARZ.

A co — widzisz! Jemu to opowiadałeś, a mnie nie chcesz? Czy to się godzi? (*Tym samym dziecinnie ciekawym tonem*) Proszę, proszę!

HRABIA.

(*Wściekły*) Dosyć! Czy nie czujesz, że sam chciałbym powiedzieć ci wszystko? Ja sam! Ale nie mogę.

SEKRETARZ.

(*Ogromnie zdziwiony*) Dlaczego?

HRABIA.

Czy nie wiesz, że są rzeczy, o których nie można mówić z nikim — nawet z samym sobą?

SEKRETARZ.

Takich rzeczy dotychczas nie było.

HRABIA.

Być może — dotychczas. Ale...

SEKRETARZ.

Wstydzisz się? Czego? Nie rozumiem. Czy ta kobieta nie jest piękna?

HRABIA.

(*Z entuzjazmem*) Śliczna. Jej biała twarz jest cudowną obietnicą, którą spełnia rzetelnie jej upajające ciało. Ale widzisz, jej urok to nie tylko ciało, ale i ogień młodości. Czy wiesz co to znaczy? Oczy jej rzekły



mi zaraz przy pierwszym spotkaniu: — jesteście wprawdzie dawno zaangażowane, ale z tobą tańczymy po raz pierwszy. A ja zadrżałem z radości... Wiedziałem, że uczucie jej będzie tak silne, jak moje własne. Bo ja sam — kocham zawsze po raz pierwszy — od niepamiętnych czasów — co dnia, co nocy — zawsze po raz pierwszy! I pomyślałem: nareszcie znalazłem swoją danserkę.

SEKRETARZ.

Powiedz mi tylko, jakie ona ma oczy, jaki głos, jaką postać, jakie włosy? Znam przecież wszystkie kobiety tutejsze. — Muszę je znać czy chcę, czy nie chcę — bo jestem twoim przyjacielem.

HRABIA.

(*Znowu zmieszany, odwraca się idzie kilka kroków tam i napowrót*) Ona nie jest z tej okolicy. Jej nie znasz. (*Gwałtownie, prawie krzyżąc*) Wierz mi, nie znasz jej.

SEKRETARZ.

(*Z pewnem wahaniem cicho mimowoli pytając dalej*) Ale skoro jest tak piękna, dlaczego się wstydzisz? Powiedz! Dlaczego nie chcesz mówić ze mną o niej?

HRABIA.

Nie chcę. (*P. ch.*) Ze względów moralnych.

SEKRETARZ.

(*Z uśmiechem*) Nie rozumiem.

HRABIA.

A to bardzo cię żałuję. Nie rozumiesz co to moralność.

SEKRETARZ.

(*Śmiejąc się*) Ależ, mój drogi, przecież tu w twoim własnym domu odczyłem się moralności. To jasne. Przy całej twej organizacyi — nie może być inaczej. Tego rodzaju względy wogóle nigdy dla ciebie nie istniały.

HRABIA.

(*Szorstko*) A więc zmieniłem się — basta.

SEKRETARZ.

(*Troskliwie — poważnie zaniepokojony*) Czy jesteś chory? (*Hrabia chodzi milcząc tam i sam*) Czy cierpisz może znowu, na ten dziwny, niewytłomaczony smutek? (*Tonem pocieszającym*) To przecież minie. Wiesz sam, że to zawsze mija. Tłómaczyłem ci często, że to jest wogóle w związku z miłością. W dodatku — u ciebie wszystko objawia się przesadnie, bo ty sam jesteś przesadą natury. (*Cicho — delikatnie*) Przypomnij sobie tylko, ile razy byłem ci w takich chwilach pomocą.

HRABIA.

(*Szybko*) Wiem, wiem!

SEKRETARZ.

Nie chcę bynajmniej się chwalić. Chciałbym tylko i dzisiaj ci pomódz. (*Tonem przyjacielskim, szcze-*

*rym, ale nie bez równie szczerzej prawie okrutnej ciekawości*) Musisz mi zaufać. Musisz powiedzieć mi wszystko. Bo inaczej... nie mógłbym tym razem podać ci ręki

HRABIA.

*(Prawie przerażony — cicho)* Nie?

SEKRETARZ.

*(Chytrze; chcąc — mniej lub więcej świadomie — skłonić go do otwartości)* Ale to się rozumie. To sam przecież uznać musisz.

HRABIA.

*(J. w.)* Ha, więc... tym razem — nie przeskoczę, więc zostanę już chyba na zawsze w cieniu. *(pauza)*

SEKRETARZ.

*(Przystępuje do hrabiego i kładzie mu obie ręce na ramionia)* Dzisiaj wzięło cię porządnie biedaku. Masz oczy całkiem szklane, zgasłe. — Jesteś naraz inny — całkiem inny.

HRABIA.

Hm — to samo powiedziała mi przed chwilą Hania.

SEKRETARZ.

*(Znowu tonem gorącej ciekawości, szybko)* Dlaczego za żadną cenę nie chcesz mi się zwierzyć.

HRABIA.

*(Tak samo szybko, jak w pojedynku)* Powiedziałem ci powody. Jeśli mimo to nie wierzysz...

SEKRETARZ.

Bo twoje powody nie są wiarygodne.

HRABIA.

Mówię ci, że nie mogę. Bo popełniłbym podłość.

SEKRETARZ.

Dla kochającego nie ma podłości.

HRABIA.

Uwiodłem kobietę uczciwą.

SEKRETARZ.

Innych kobiet uwieść nie można.

HRABIA.

Jesteś cyniczny.

SEKRETARZ.

Jesteś chory.

HRABIA.

To była żona przyjaciela.

SEKRETARZ.

Rozumie się — tak zawsze bywa.

HRABIA.

*(Prawie grożąc)* Nie śmieję się, nie śmieję się to żona przyjaciela.

SEKRETARZ.

Ty nie masz wogóle przyjaciół! Gdzież oni są? Gdzie? — Może ci, których tak nazywasz po kilku butelkach wina? Co? Zastanów się — ty nie masz

przyjaciół! A może ci, którzy grają z tobą w karty — z tobą polują.

HRABIA.

(*Wrywa się: gwałtownie wzburzony*) Milcz! Jesteś, głuchy, ślepy — nic nie wiesz. Nic, nic nie wiesz. (*podniesionym głosem*) Człowiek o którym mówię, jest moim przyjacielem.

SEKRETARZ.

(*Zazdrośnie — sceptycznie*) Ach, może lepszym odemnie?

HRABIA.

Jest mi oddany aż do szaleństwa. Nie ma innej troski, jak tylko o mnie o moje zdrowie, szczęście, życie. Jeśli mnie tu widzisz — jeśli jeszcze oddycham — jeśli sam dawno nie zrobiłem tego... co Krystyna — (*wskazuje ruchem głowy na sztylet leżący na biurku*) chciała mi zrobić — zawdzięczam jemu.

SEKRETARZ.

(*J. w. dotknięty*) Tylko jemu. (*z rosnącym niepokojem*) Kto jest ten człowiek?

HRABIA.

(*Ciszej napozór spokojnie*) Ot — waryat, naturalnie. Kto ma takie szczęście u kobiet, jak ja — nie może mieć innych przyjaciół. Mówię ci — waryat. Wszystko, co posiadał — było dla mnie. Widział, słyszał — dla mnie. Pracował bez wytchnienia — dla mnie. A swoje szczęście jedyne, swą cudną żonę miał

dla mnie. Tego przyjaciela, który miał dla mnie tysiąc czujnych troskliwych zmysłów, oszukałem jak pierwszego lepszego dutka. Mówię ci — sam był przytem a nie widział, jak ona dała mi znak. — Rozumiesz? — Znak, że chce być moją kochanką.

SEKRETARZ.

(*Tonem zdziwionym z admiracją*) Był przytem, a nie widział jak jego żona (*półgłosem*) To dobre doskonale. — *z uśmiechem uznania*) To ci się udało. (*znowu niespokojnie*) Kto jest ten człowiek? (*znowu biorąc czysto artystycznie »dobry pomysł« przyjacielowi*) Przy nim, w jego oczach. Ha, ha — musisz mi to opowiedzieć wszystko szczegółowo. Proszę! (*z ciekawością a zarazem z instynktowym strachem*) Musisz opowiedzieć mi wszystko od początku do końca — dokładnie. (*naraz głośno*) Kto jest ten człowiek? (*gwaltownie i z przeraźliwym lękiem*) Kto? (*hrabia i sekretarz patrzą sobie przez kilka sekund w oczy*)

HRABIA.

(*Całkiem cicho zdziwionym uśmiechem*) Nie domyślasz się?

SEKRETARZ.

(*Z twarzą strasznie zmienioną, wskazując gestem pytającym na siebie*) He? (*z lękiem*) Boże, Boże! (*z uśmiechem jakby przerażonym i chytrze obłąkanym*) Ja sam byłem przytem jak... (*rozgląda się*) tutaj — (*całkiem cicho*) To ci się udało. Mnie samego oszukałeś. (*patrzy*

teraz wprost na hrabiego, który stoi nieruchomy — oparty o wschody jak posąg) Z nią. — (rozpaczliwie) Z nią?! (krzyczy boleśnie z lękiem) Zuzanno. — Ty. — Zuzanno (płaczliwie jak dziecko opuszczone w lesie) Gdzie jesteś Zuzanno? Tak długo ciebie nie widziałem — tak za tobą tęskniłem. (ze łzami; z gestem patetycznym pajaca) He — panie hrabio — proszę mówić, cokolwiek. (tży wzrok mu zastaniają) Gdzie jest pan hrabia? — gdzie? Nie widzę. — Czy pan hrabia się śmieje? Co? Co? (idzie jak pijany macając rękami w powietrzu, do hrabiego — spogląda mu chwilę w oczy, potem patrzy w prawo i w lewo, jakby czegoś szukał wreszcie chwiejnym krokiem przystępuje do biurka i bierze sztylet Krystyny — Na scenie panuje teraz — z powodu burzy — prawie zupełna ciemność; słychać potężny wicher i szum drzew w ogrodzie.)

HRABIA.

(J. w. oparty o wschody; głosem podniesionym prawie uroczyście) Leporello mój, Leporello, zabij mnie.

SEKRETARZ.

(Tonem przerażająco służbistym) Do usług panie hrabio. — Zaraz. (idzie po ciemku, zygakiem chwiejnym) Gdzie pan jest? Jeśli pan hrabia nie jest tchórzem — proszę czekać!

HRABIA.

Czekam Leporello.

SEKRETARZ.

(*W bija kilkakrotnie, z groteskową wściekłością sztylet w pierś hrabiego*) Tak, — tak, panie hrabio. — (*po ostatnim pchnięciu błyskawica oświetla jasno scenę, widać jak ciało hrabiego zsuwa się na ziemię*) Tak panie hrabio. — (*sztylet wypada mu z ręki, teraz stoi blady, uśmiechnięty patrząc bezustannie na hrabiego*)

HRABIA.

(*Leżąc na ziemi, głosem sennym*) Ach — (*wzdycha*)  
Gorąco — piecze — (*świst wiatru*)

SEKRETARZ.

(*Słuchając uważnie — pyta półgłosem*) Co mówisz? Co?

HRABIA.

Słońce piecze (*sennie po małej chwili*) Sevilla — o, biała i niebieska — Sevilla — (*świst wiatru staje się coraz dziwniejszy tak jakby z daleka słysząc było różne głosy kobiece*) Dobry wieczór, donna Elwiro. Co? — zdrajca? (*pogodnie*) Nie, tylko szczery. Bądź zdrowa, donna Elwiro, na zawsze. (*kobiece głosy i jęki wzmagają i zbliżają się z wszystkich stron*) Zabiłem ojca pięknej donny Anny.

SEKRETARZ.

(*Takim samym naiwnym tonem dziecka, jak przedtem, na początku sceny*) Proszę opowiadać — opowiadać.



HRABIA.

Tak Leporello — zabiłem Don Gonzala, Komandora — ale tylko pozornie, mój drogi, tylko pozornie, bo...

SEKRETARZ.

Co? co?

HRABIA.

Bo jestem wieczny. (*burza i głosy kobiet*) Sewilla — (*coraz ciszej i senniej*) biała i niebieska Sewilla. (*głębokie westchnienie — milknie*)

SEKRETARZ.

(*Zrozpaczony; krótko, ze strachem*) Opowiadaj... (*głęboka cisza: sekretarz pochyla się jakby chciał usłyszeć jeszcze choć jedno słowo z ust hrabiego. — Od tej chwili aż do końca scena znówu się rozjaśnia*) Dalej. — Mów! czy widzisz mnie? Ja słucham — Czy już nie nie powiesz? (*czeka; potem powoli się prostuje i opiera się o wschody: jego twarz jest blada, oczy są zamknięte.*)

## SCENA VI.

SEKRETARZ, HANIA, PROFESOR, *potem* KILKANAŚCIE  
DZIEWCZĄT, ZUZANNA, PROFESOR, LOKAJE.

HANIA.

(*Wbiega cicho przez drzwi środkowe jakby wiatr ją wrzucił do pokoju. Oczy jej szeroko otwarte mają wyraz taki, jakby wiedziała już, co się stało i tylko szukała ciała. Idzie powoli, sennie naprzód, widzi ciało hrabiego i staje; mówi prawie spokojnie*)

Jest. Wiedziałam, że zabili mego męża. (*do sekretarza*) Wiedziałam już przedtem, w ogrodzie — (*klęka, żeby spojrzeć leżącemu w twarz*) Ale oczy jego błyszczą. (*dotyka się delikatnie ciała*) O jakie ręce jego gorące.

SEKRETABZ.

(*Sucho*) Pan hrabia nie żyje.

HANIA.

Mój mąż... (*dziewczeta wchodzi z wszystkich stron na scenę; tak sennie, nierealnie, jak przedtem Hania, otaczają leżące ciało*) O, wy także już wiecie.

DZIEWCZĘTA.

(*Sennie kiwając głowami jak kwiaty w bajce*) Wiemy, wiemy, wiemy. — (*Dziewczeta stoją i siedzą w rozmaitych pozach naokoło ciała hrabiego, jak ptaszki albo motyle; szepcą, spoglądają na siebie smutno i kiwają głowami*) Wiemy, wiemy.

PROFESOR.

(*Wchodzi nagle z prawej strony z gazetą w ręku, jak uosobiona realność; staje zdziwiony i poprawia sobie okulary; mówi tonem trzeźwym, bardzo wyraźnym*) Co tu się dzieje? (*nikt nie zwraca na niego uwagi; dziewczeta szepcą i kiwają głowami, sekretarz stoi nieruchomy; cała scena jest zaklęta, niby w śnie słonecznym pogrążona*). Czy nikt mi nie powie co się tu stało? (*zbliża się do leżącego hrabiego*) Ach, mój brat. — (*patrzy na sekretarza pytającym wzrokiem*)

SEKRETARZ.

*(Nagle się budzi, prostuje się jak nakrecony żołnierz drewniany i melduje tonem służbistym)* Zabiłem pana hrabiego tym sztyletem.

PROFESOR.

Co? pan go zabił? *(patrzy chwilę na sekretarza podnosi sztylet)* Muszę zbadać ranę. — Proszę położyć pana hrabiego na sofę. *(dziewczeta podnoszą ciało i kładą je na sofę; wchodzi znowu kilka kobiet — między nimi Zuzanna)*

SEKRETARZ.

*(Widząc żonę podchodzi dwa kroki ku niej, potem staje, głosem cichym, tęsknym, bolesnym)* Zuzanno.

PROFESOR.

*(Do sekretarza)* Proszę się stąd nie ruszać. *(zbliża się do ciała hrabiego)*

ZUZANNA.

*(Nie widzi i nie słyszy swego męża, lecz jak za-hipnotyzowana patrzy na hrabiego. Sekretarz stoi nieruchomy)*

HANIA.

*(Szepcąc)* Ręce jego są gorące.

DRUGA DZIEWCZYNA.

Oczy jego błyszczą.

TRZECIA DZIEWCZYNA.

On żyje.

PROFESOR.

*(Rzeczowo)* Zaraz się przekonam. *(po chwili)* Serce jego nie bije.

HANIA.

*(Ze łzami, szeptem)* Ależ ręce gorące.

PROFESOR.

Cicho — niema najmniejszej wątpliwości. Pan hrabia nie żyje. — *(wstaje)*

DZIEWCZĘTA.

*(Szeptem)* Oczy jego błyszczą

PROFESOR.

*(Apodektycznie)* Nie żyje. Stwierdziłem to z wszelką pewnością *(do służących, którzy weszli)* A tu jest morderca. *(dwóch służących zbliża się do sekretarza i wyprawdzają go z hali)*

SEKRETARZ.

*(Wychodząc)* Zuzanno. *(Zuzanna wciąż patrzy na hrabiego — sekretarz ze służącymi wychodzi na prawo.)*

PROFESOR.

*(Do starego kamerdynera)* A ty wyrzuć ztąd wszystkie kobiety, wszystkie. — Nawet po śmierci otacza go rój tych stworzeń okropnych. — Sam tymczasem pójdę, żeby zarządzić wszystko co potrzeba. *(wychodzi na prawo — stary kamerdyner podnosi tylko ręce do góry — a kobiety znikają prawie w okamgnieniu i bez szelestu, jak senne widziadła albo duchy. — Tylko Zu-*

*zanna zostaje skulona, tuląc się do muru i nieznacznie zbliża się potem do sofy, na której leży hrabia. Kamerdyner wychodzi)*

## SCENA VII.

ZUZANNA.

*(Przystępuje cicho do tego końca sofy, gdzie spoczywa głowa hrabiego. Słońce świeci jasno, jak na początku aktu. Przez otwarte drzwi i okna widać złote drzewa, łąki i dalekie łąny w pełnym jaskrawym świetle. Zuzanna mówi głosem tęsknym, czułym.)*

Drogi mój... *(Z daleka słychać dźwięki kos, swiergot ptaków i głos dzwonów z odległego kościoła)* drogi mój... wiem, że oprócz mnie były inne... Ale ja jestem ostatnią. Kochałeś mnie — prawda? — Kochałeś mnie. — Oczy twoje, cudne, błyszczące spoglądają na mnie, tylko na mnie. *(z uśmiechem jakiejś dumy bolesnej)* Jestem ostatnią. Pocałuję cię jeszcze raz — tylko raz, a potem już żadna kobieta w świecie nie dotknie się ust twoich *(pochyla się ku twarzy hrabiego)* drogi tylko raz — ostatni. *(całuje hrabiego: nagle jednak odskakuje podnosząc ręce do góry, jakby stał się cud, woła głosem w którym jest niestłuchane zdumienie, a zarazem radość bez granic.)* On mię także pocałował! Pocałował! Pocałował!

*(Podczas ostatniego »pocałował« kurtyna opada.)*

**INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN**

**Biblioteka  
ul. Nowy Świat Nr 72  
00-280 Warszawa  
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42**











F

2881.